

Refleksje lipcowe

Optymizm i niepokój

MAREK ADAM JAWORSKI

21 LIPCA 1967 r... Więc jak powiedział ten krasnoarmiejelec, niewiele starszy ode mnie, który przed dwudziestu trzema laty z pepeszą w rękę nachylił się nad schronem? „Germanców u was niet?” Front przetoczył się nad Sawinem, duża wsią, czy małym miasteczkiem — żeby nikogo nie urazić — w powiecie chełmskim w ciągu kilku godzin. Jeszcze rano widać było hitlerowskich żołnierzy, samochody z czarnym krzyżem tłoczyły się na szosie. Działa brzmiały coraz bliżej.

I wreszcie ów krasnoarmiejelec, który z trudem oswabadzał się z uścisków. Ciągłe widzę jego sylwetkę, uśmiech bez twarzy, bo twarz zataryła lata. I ten gest ręki, gdy dziękował za powitanie. I te oczy niespokojnie biegające, czujne.

Później jazda do Chełma na lebkę radziecką ciężarówką za małą butelkę czystego spirytusu. Ale i bez niej można się było zabrać. W kuzynowskiej aptece był jednak pewien zapas alkoholu, który teraz liczył się szczególnie. W Chełmie po raz pierwszy zobaczyłem polskich żołnierzy. Zakurzeni, zmęczeni, uśmiechnięci szli jechali w powodzi kwiatów.

Tłumy gromadziły się przed rozlepionymi na murach, płotach manifestami PKWN. Jeszcze dzisiaj, gdy bywam w Chełmie, zatrzymuję się przed jednym domem przy ulicy Bojowników o Wolność i Demokrację. Dokładnie mogą wskazać miejsce, gdzie po raz pierwszy czytali Manifest.

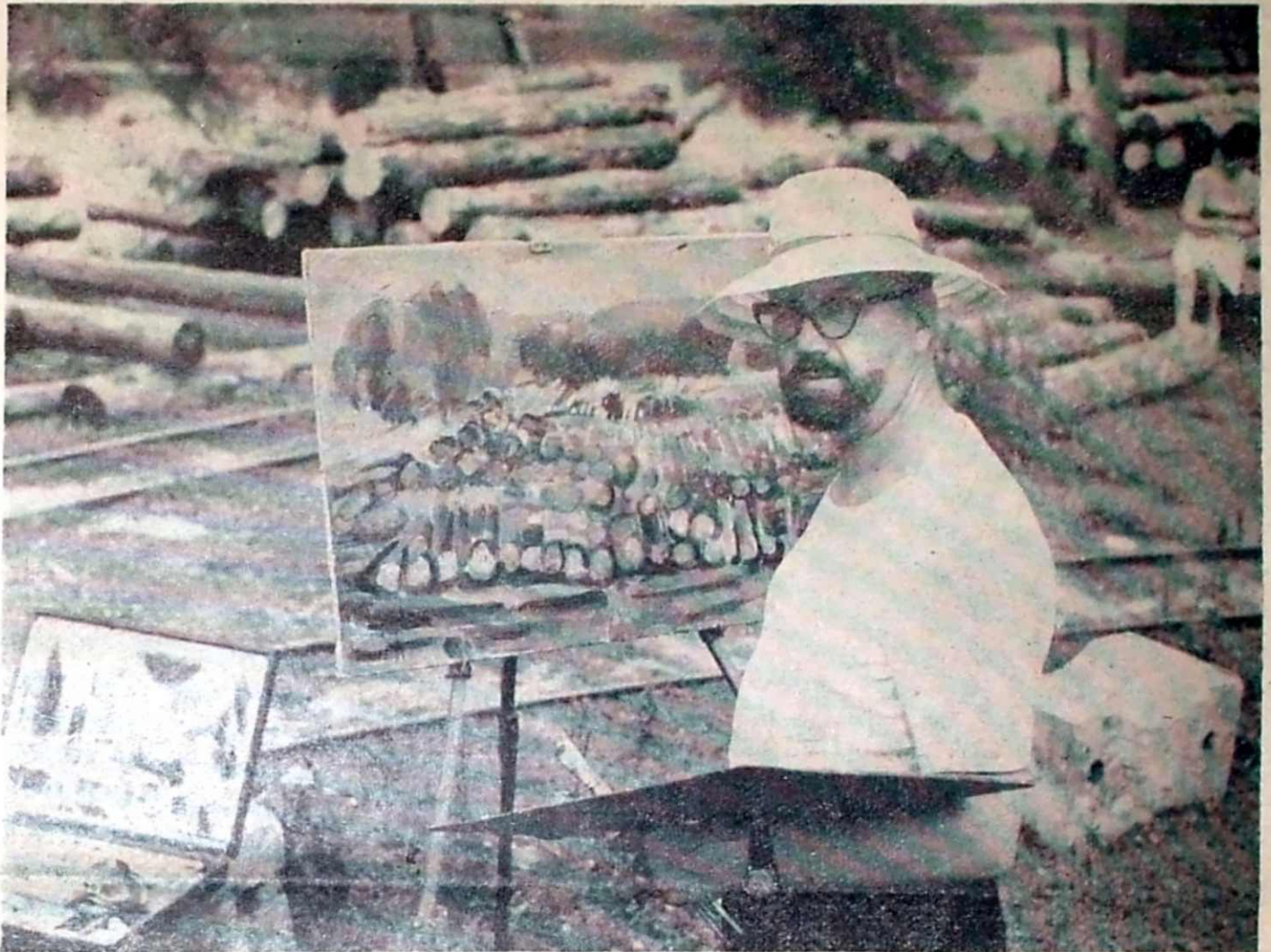
„Rodacy... Stawajcie do walki o wolność Polski, o powrót do Matki Ojczyzny starego polskiego Pomorza i Śląska Opolskiego, o Prusy Wschodnie, o szeroki dostęp do morza, o polskie stopy graniczne nad Odrą!”

Czytam dzisiaj, po dwudziestu trzech latach, tekst Manifestu PKWN, pełen wielkiego podziwu dla autorów tego dokumentu. Dalekość, mądrość polityczna, realizm, patriotyzm i internacjonalizm. Jakże naiwnie brzmią przy Manifestie poglądy Mikołajczyka przedstawione 3 sierpnia 1944 r., znane dziś z dokumentów, w czasie rozmowy ze Stalinem! Zabrakło premierowi rządu emigracyjnego tego, co nazywamy szerszym oddechem. Świat zatrzymał się dla niego w 1939 roku. Mówił tak, jak by nie zauważał, że marsz od Stalingradu do Chełma kosztował kilkanaście milionów istniejących ludźmi, obywateli radzieckich i polskich, którzy polegli w walce czy pod murami straceń, na polach Kurska i Lenina, w piecach Majdanek i Oświęcimia.

Ażby zwyciężąc w Stalingradzie trzeba było najpierw zwyciężyć w Piotrogrodzie. Pięćdziesięciolecie rewolucji Październikowej stanowiło dobrą okazję, aby do codziennej lektury włączyć książki przypominające wydarzenia sprzed pół wieku. Właśnie wczoraj na nowo przeczytałem „Rosję we mgłę” Wellsa. Mimo naiwności wielu sądów podziwiam wielkiego fantasty, który starał się zrozumieć ówczesne przemiany.

„W obliczu olbrzymich trudności ci ludzie (bolszewicy) czynili nader trudne wysiłki, by na ruinach przetrzeźniał budować nową Rosję. Można dyskutować z nimi, o ile chodzi o ich poglądy i metody działania, można nazywać ich plany utopijnymi, można śmiać się z ich poczynań lub obawiać się tego, co robią, ale pełnićlibyśmy błąd, gdybyśmy chcieli twierdzić, że w obecnej chwili w Rosji nie spostrzega się twórczej, konstruktywnej pracy...”

A rozmowa Wellsa z Leninem, którego wielki pisarz angielski nie



WŁADYSŁAW FILIPIAK od lat związany z lubelskim środowiskiem plastycznym należy do jego najciekawszych postaci. Studia w krakowskiej pracowni prof. Z. Pronaszki zbliżyły go na dłuższy okres czasu do postimpresjonizmu, od którego odszedł jednak w latach pięćdziesiątych. Aktualnie malarstwo Filipiak nosi cechy „nowej figuracji”. Tej niesprecyzowanej formule artystycznej, o bardzo elastycznym programie, potrafił Filipiak nadać charakter zdecydowany i — co najważniejsze — indywidualny. Uczestnik wielu wystaw krajowych, laureat nagród miejskich i wojewódzkich w dziedzinie twórczości plastycznej, nieraz piastował odpowiedzialne funkcje w związku artystów, był pierwszym prezesem powstałego w Lublinie w 1936 r. Związku Artystów Plastyków. Fot. A. Polakowski

Wyszedł z domu i nie wrócił

ROMUALD WIŚNIEWSKI

KOMUNIKAT MO: W dniu 22 czerwca 1963 roku w lesie koło Piskorowa w powiecie puławskim (woj. lubelskie) znaleziono zwłoki młodej kobiety, przy której nie było żadnych dokumentów pozwalających na ustalenie tożsamości. Kobieta miała wzrost około 150 cm, lat ok. 25, szczupłą budowę ciała, tęczowe oczy, włosy średnie, lekko zaokrąglone, ciemnobrunatne, splecione wozoma półkolistymi grzebieniami koloru brązowego. Ubrana była w kostium koloru granatowego z białą nitką, tzw. tenis białą, nylonową bluzkę z rękawami 3/4 i majtkami, żółtą szalikową kurtkę, jasnoniebieskie buty i brązowe panofle. Na płaskim obszarze, w otoczeniu skrzypów i turzyc, w miejscu, skąd przysyłała do wojewódzkiej strony kolumny kolorową metkę z napisem „Krakowskie Zakłady Przemysłu Odzieżowego „Ectra””. Jak ustalono, kostiumy te sprzedawane były w latach 1957-63 w następujących miastach i województwach: Bydgoszcz, Gdańsk, Katowice, Kielce, Łódź, Olsztyn, Opole, Poznań, Rzeszów, Szczecin i Wrocław. Stwierdzono, że spódnica kostiumu znalezionego na denuncjata została skrócona o około 10 cm i zwężona o około 6 cm.

Ktokolwiek mógłby udzielić jakichkolwiek informacji o osobie denatki, proszony jest o porozumienie się z Komendą Wojewódzką MO w Lublinie, ul. Narutowicza 73, pokój nr 94, tel. 2-01-01 — wewn. 411.

Komunikaty tej treści spotyka się nieraz na łamach naszych pism. Natomiast niemal codziennie ukazują się zawiadomienia milicyjne, poszukujące różnych osób, które wyszły z domu bez uprzedzenia kogokolwiek i nie powróciły, czy też komunikaty o znalezieniu osób w różnym wieku, które nie wiedzą jak się nazywają i nie są w stanie podać żadnych personaliów.

Wszystkie te sprawy ściśle łączą się z sobą. Na podstawie tych informacji trudno jednak wyrobić sobie pogląd o całokształcie tego problemu. A jest to na pewno problem niebanalny.

Codziennie w Polsce, przeciętnie około 10 osób, wychodzi z domu i nie wraca. Co to znaczy: „wychodzi z domu i nie wraca”? Oczywiście pod pojęciem to podciąga się nie panów, którzy wstąpili z kolegą na kieliszek wódki, a zostali na pół litra, „zagrall się” w karty, czy też pań, które przepłotowały z koleżankami całe popołudnie, jak i młodego chłopca lub dziewczynę, którzy zakochani od pierwszego spojrzenia przepaciowali pół nocy po parku. W tego rodzaju sprawach wpływają bowiem do milicji setki zgłoszeń dziennie. Każda matka, której ukochana 16-letnia córka po raz pierwszy nie wróciła do godz. 22 do domu, jest zaniepokojona, alarmuje najbliższego posterunek MO i wprawia w dyżurnego podoficera, że musiała coś się stać, bo jej córka to jeszcze dziecko i nigdzie bez rodziców sama by się wieczorem nie

ruszyła. Milicja wie, że wiele młodych dam w tym wieku wyrusza chętniej pod opieką męskiego ramienia, niż macierzyńskiej. Uspokaja się więc rodziców, obiecuje pomoc i każe zawiadomić ponownie posterunek, jeśli latorośl nie zjawi się do rana. Ale jeśli nieobecność przedłuża się rzeczywiście w sposób niezrozumiały, milicja uruchamia swój aparat do poszukiwań. Trzeba tu dodać, że jeśli chodzi o małe dzieci, milicja wszczyną poszukiwania już po kilku godzinach nieobecności, gdyż wiadomo, że samotne, zagubione dziecko narażone jest bardziej na niebezpieczne wypadki niż osoba dorosła czy dorastająca.

Nie każda nieobecność człowieka w domu ma poważne podłoże. Ot, niedawno, z jednego z miast wojewódzkich na Wybrzeżu wyszedł z domu na przechadzkę młody człowiek, świeżo upieczony maturzysta. Nie było go dzień, dwa, trzy, milicja dała do pracy komunikaty i zdołała zaginionego, funkcjonariusze wyruszyli na poszukiwania, a tymczasem po dwóch tygodniach młody człowiek i cały powrócił do domu. Okazało się, że wtedy na rannym spacerze spotkał kolegę ze swojej klasy, syna rybaka morską. Kolega jechał samochodem ojca, dokonał jakichś zakupów, zaprosił przyjaciela na kilka godzin do siebie do domu, a że czwartek był pogodny i piasek na plaży gorący, wizyta przeciągnęła się dłużej.

Dla rodzin każde zniknięcie ich najbliższych przynosi jednak najczarniejsze przecucia, strach i obawę o los kochanej osoby. Dlatego też milicja do każdej sprawy podchodzi z jednakową uwagą, każdego zaginionego poszukuje tak, jak szu-

ka się ofiary przestępstwa. Gdy nieobecność przedłuża się ponad miesiąc, do akcji włącza się Oddział Służby Kryminalnej Komendy Głównej MO i wtedy poszukiwania, prowadzone poprzednio w skali jednego województwa, obejmują cały kraj.

Z tej przeciętnej około 10 osób dziennie, które w Polsce wychodzą z domów i nie wracają, 80 procent odnajduje się w ciągu miesiąca. Pozostali — różnie; po kilku miesiącach, po kilku latach, czasem nafiała się na ich zwłoki, bywają wypadki, że nie odnajduje się nic.

Niedawno w województwie wrocławskim do rodziny zamieszkałej w małym miasteczku powrócił syn, który zaginął w roku 1953. Miał wtedy 13 lat — dziś ma 27. Rodzicom, którzy pogodzili się już ze stratą dziecka, opakali go i postawili mu nawet pomnik na cmentarzu, powiedział, że poszedł z domu, bo nie cierpiał szkoły, do której kazali mu chodzić. Przez te 14 lat mieszkał w zapadłej wiosce w sąsiednim województwie — u jakiejś rodziny chłopskiej. Gospodarski nie meldował o nim nikomu, bo chłopek okazał się pomocą w pracy na roli, w dodatku tania, a że oni nie mieli własnych dzieci, więc nie chcieli go utracić.

Wśród osób zaginionych jest więcej mieszkańców miast niż wsi i to głównie dużych miast. W roku 1965 najwięcej takich wypadków było w Warszawie, dalej w Łodzi, Katowicach, Wrocławiu i Poznaniu. Na ostatnich miejscach w tabeli statystycznej znajdowały się wojewódz-

(Dokończenie na str. 4)

(Dokończenie na str. 3)



Notes „Kamery” Rewolta Czarnych

ANDRZEJ RAŚLAWICKI

Literatura

W tegoroczny plan wydawniczy przynosi — po raz pierwszy w takiej liczbie — sporo przekładów z literatury narodów Afryki i Ameryki Półd. Z literatury afrykańskiej, po wydanej już przez PIW powieści pisarza z Kameranu Mongo Heli „Biedny Chrystus z Bombi”, ukazuje się również w PIW wybór opowiadań najwybitniejszych współczesnych pisarzy afrykańskich „Na południe od Sahary”. Z klasyki otrzymamy zbiór autentycznych bajek z Tuniisu — „Przykawie i nagillach”. Bogato reprezentowana jest w br. w naszych przekładach literatura krajów Ameryki Półd. M. in. ukazuje się kilka antologii: „Opowiesci z Wysp Karaibskich”, opowiadania pisarzy rejonu Morza Karaibskiego oraz „Antologia młodej poezji kubańskiej”.

brać udział członkowie ZLP oraz powołani nieuczestniczą. Na turniej należą wiersze pod nie publikowane wiersze pod gośdem, w trzech kopiach masyzynopisu, na adres: Klub Studentów Wybrzeża „Zak”, Gdańsk, ul. Wally Jagiellońskiej 1, z dopiskiem na kopercie: Turniej „Czerwonej Róży”. Termin nadsyłania prac upływa z dniem 18 października br. (decyduje data stemnika br. decyduje). Jury przyzna nagrodę „Czerwonej Róży” w wysokości 5 tys. zł oraz pierwsze wyróżnienie w wysokości 3 tys. zł i drugie wyróżnienie w wysokości 2 tys. zł.

Nakładem wydawnictwa Pierre Waleffe ukazała się książka pt. „Fryderyk Chopin”, której autorem jest André Gauthier. Prasa francuska pisze, że książka jest ciekawa zarówno dla specjalistów, jak i szerokiego kręgu czytelników.



Tak będzie wyglądać Pomnik Powstańców Śląskich.

Spoleczną i polityczną tematykę omawia w swojej książce „Czarna Afryka — od społeczeństwa pierwotnego do socjalizmu” J. Chodak, przedstawiając jednocześnie ogólną tendencję rozwoju kontynentu afrykańskiego. Leonid Telega, obecnie odbywający podróż jachtami „Opły” dookoła świata, jest autorem reportażu „U brzegów Afryki”. Jest to relacja z połowów polskiego trawera „Wiry” na łowiskach wschodniego Atlantyku u wybrzeży Afryki.

Periodyk „La Quinzaine Littéraire” zamieszcza zestawienie najlepszych książek, które ukazały się we Francji w bież. roku. Wśród nich w dziale teatru wymienia się drugi miesiąc tomiku sztuk scenicznych pt. „Teatr” Stanisława Mroczka z wyróżnieniem jego „Tanga”.

Materiały dotyczące twórczości Dantego wzbogaciły się ostatnio o bardzo cenne odkrycie. W opactwie benedyktyńskim w Pragelli koło Padwy dyrektor Instytutu Konserwacji Książek odnalazł w XV-wiecznym kodeksie poważny fragment „Zycia nowego” Dantego — pamiętnik młodości. Jest to pergamin, który niektórzy filolodzy odnoszą do pierwszych lat XIII w. Bardzo możliwe, że jest to najstarszy fragment rękopisu przepisany jeszcze za życia autora.

Francuscy wydawcy coraz bardziej interesują się polską literaturą współczesną. Ostatnio kilka znanych firm edytorów zwróciło się do Agencji Autorskiej w sprawie opublikowania we Francji książek naszych pisarzy. Firma Gallimard zamierza wydać m. in. także pozycje jak: „Gwiazda zaranna” Marii Dąbrowskiej, „Disneyland” Stanisława Dygata, „Ogród pana Nietzsche” Kornela Filipowicza, „Apollinaire” Julli Hartwig, „Złote gody” Jerzego Krzysztowiaka, „Apokryf rodzinny” Hannu Malewskiego, „Wrześniowa noc” Jana Jędrzejowskiego, „Malowane życie” Michała Rusinka. Wydawnictwo Flammarion przagnie poznać czytelników francuskich z książkami Henryka Gruenberga, Marka Nowakowskiego, Juliana Strykowski.

Wydawnictwo „Młoda Fronta” przygotowuje wydanie tomu wierszy wybranych Cyprjana Norwida. Te pierwsze antologie wierszy Norwida w języku czeskim opracował Jaroslav Honegr, znany warszawski publicysta i jako współautor „Trucizny z Elosynoru”, dramatu, z którym wiosną br. występował praski teatr Kameralny (Komorní divadlo) na scenie Teatru Powszechnego. Seden z wierszy z tego tomu znalazł się niedawno w niedzielnym dodatku literackim „Rudeho Prava”.

Zwrot „Studentów Polskich — Klub Studentów Wybrzeża „Zak” w Gdańsku ogłasza VIII Ogólnopolski Turniej Poezji Społecznej Zorganizowanej o nagrodę „Czerwonej Róży”. Turniej na charakter otwarty i mogą w nim

ment uległ poważnym zmianom. W roku ubiegłym ukonczono baprawę.

Staraniem Wydziału Kultury Przew. WRN w Koszalinie, PRZ. MRN w Słupsku i Koszalińskiej orkiestry symfonicznej zorganizowany zostanie w dniach 7-11 września br. w Słupsku festiwal polskiej pianistyki. W stylowej sali rycerskiej Muzeum Pomorza Środkowego wystąpią czwórka nasi pianiści, m. in. Halina Czerny-Stefańska, Barbara Hlesse-Bukowska, Lidia Grychotkówna, Ryszard Bakst i Władysław Kedra.

W dniach 8-13 września br. odbędą się na Pomorzu IV Festiwal Muzyki Polskiej. Tegoroczny program 12 festiwalowych koncertów symfonicznych i kameralnych, które odbędą się w Bydgoszczy, Toruniu i Lubostroniu, jest bardzo bogaty. Obejmuje polską i zagraniczną muzykę, w tym także dzieła muzyki polskiej od renesansu do Góreczki. Wykonanych zostanie szereg dawnych dzieł, zapomnianych zupełnie lub zgola nie znanych.

W St. Pancras Hall w Londynie odbył się występ chóru Politechniki Poznańskiej pod batutą Stefana Stulgrosa. Chór ten dał koncert w Londynie w drodze powrotnej z miejscowości Llan-gollen w Wali, gdzie uczestniczył w dorocznym festiwalu muzycznym i uzyskał IV nagrodę w konkursie dużych zespołów chóralnych. Chór Politechniki Poznańskiej i Jeździeckich „Poznańskich”, prowadzonych przez Stulgrosza — występował na festiwalu w Wali pod dyrekcją Janusza Dzieciola.

Sztuka

W salach zamku Książał Pomorskich oraz Klubie „13 mur” otwarto ostatnio dwie wystawy. Ziemowit Szuman ze Szczecina wystawił 60 prac — dorobek ostatniego roku. Szczególnie zainteresowanie wzbudza oryginalne powiązanie sztuki abstrakcyjnej z tematyką „Kwiatów zła” Baudellaira'a. Nie mniej ciekawa jest wystawa malarska Zdzisława Sianka z Katowic, którego wielu krytyków łączy z nazwiskiem prekursora polskiegoizmu — Władysława Strzemińskiego.

W Opolu otwarto wystawę malarstwa i grafiki artystów szczecińskich. Dominują pejzaże. Wystawa, na której zgromadzone 38 prac, cieszy się dużym zainteresowaniem opolan. Jest to już czwarta w tym roku w Opolu — po Katowicach, rzeszowskiej i olsztyńskiej — wystawa prac artystów okręgów, z którymi Opole prowadzi stałą wymianę kulturalną.

W Bydgoszczy otwarto wystawę obrazów wybitnego polskiego malarza współczesnego — rektora poznańskiego WSPSP, Stanisława Teisseyre. Ekspozycja obejmuje 23 dzieła powstałych w ciągu ostatnich 10 lat, a stanowiących artystyczny dokument podróży do Grecji, Jugosławii, Włoch, Francji i Kuby. Tematami prac jest przede wszystkim pejzaż nadmorski.

W Bielsku otwarto II Biennale form przestrzennych. W porównaniu z pierwszą imprezą sprzed dwóch lat, zorganizowane one zostały na znacznie zmienionych zasadach. Liczba uczestników ograniczono do 10, w większości wybitnych artystów, wytypowanych przez Radę Naukową - Artystyczną Biennale, działającą pod przewodnictwem dyrektora Muzeum Narodowego w Warszawie prof. Stanisława Lorentza. Impreza nie ma charakteru konkursowego. Podobnie jak poprzednio, techniczne wykonanie form i pomoc organizacyjną zapewniają Zakłady Mechaniczne im. generała Świerczewskiego. Tym razem w Biennale biorą udział wyłącznie artyści polscy.

Archeologia

W rejonie gromad Aleksandrów i Ostrowo położonych nad Pilicą w woj. kieleckim odkryto dwie osady z okresu kultury łużyckiej oraz emmentarysko-ciałopalne z tego okresu. Odkrycie to jest prawdziwym wydarzeniem, ponieważ stanowiska osadnicze z okresu kultury łużyckiej znane były dotychczas jedynie na wschodnich terenach Kielecczyzny. Przeprowadzone badania wykazały, że zachodnia część obszaru objętego kulturą łużycką była — jak na ówczesne stosunki — dość gęsto zaludniona.

Niemal na całym rozległym obszarze głogowskiej huty miedzi występuje dawne osadnictwo. W jednym z wykopów znaleziono 3 jam osadniczych. Jest to typowy obiekt wielokulturowy. Obok śladów kultury z epoki brązu występują tu również relikty osadnictwa z okresu średniowiecza.

W Domaniowcach w pow. Głogów mgr Mieczysław Kaczkowski kontynuuje prace wykopaliskowe — prowadzone tu od kilku lat. Ze zbadanych 11 grobów ciałopalnych — 13 pochodzi ze średniego okresu lateńskiego (od 400 do 100 roku p.n.e.), a jeden z wczesnej epoki brązu. W grobach „lateńskich” znaleziono fragmenty skłanej biuterlii pochodzenia czasyńskiego, m. in. fragment nasyżnika z zielonego szkła.

Różne

Minister Kultury i Sztuki przyznał szereg nagród za działalność artystyczną w 1967 r. Nagrody I stopnia otrzymali: Tadeusz Fijewski,

Tadeusz Ironowski, Kazimierz Hlakowiczówna, Julian Kawalec, Henryk Korotyński, Czesław Reepiński, Andrzej Słopka, Kazimierz Wilhomorski, ponadto zespołowe: Stanisław Różewicz, Jan Józef Szczepański i Jerzy Wojcik oraz Janusz Przymanowski, Konrad Wałęcha, Stanisław Wóhel i Romuald Kropat.

Do trzech wyższych uczelni teatralnych, kszalcących przyszłe gwiazdy sceny i ekranu oraz reżyserów i operatorów, starano się dostać w br. w Polsce 700 osób. Przyjęto tylko 87. W największej ze szkół, Łódzkiej PWSTF, przypadało 16 osób na jedno miejsce.

Zorganizowany po raz trzeci przez Ministerstwo Kultury i Sztuki oraz TPBR Ogólnopolski Festiwal Amatorskich Teatrów Poezji objął w br. rekordową liczbę blisko 400 zespołów. Do eliminacji przystąpiło 35 zespołów studenckich, 105 szkolnych, 150 robotniczych, 30 wiejskich i 40 wojskowych. Założeniem tej wielkiej imprezy, zorganizowanej dla uczczenia 50 rocznicy Rewolucji Październikowej, jest dalsze popularyzowanie i upowszechnianie postępowych, humanistycznych i rewolucyjnych treści, zawartych w radzieckiej i polskiej twórczości poetyckiej, ze szczególnym uwzględnieniem dzieł o tematyce związanej z Rewolucją. Zespoły zaprezentowały w czasie niedawnych wojewódzkich eliminacji interesujące i różnorodny repertuar.

Laureatem dorocznej honorowej odznaki SARP przyznawanej za wybitne osiągnięcia w dziedzinie architektury został prof. Jan Chmielewski.

Na posiedzeniu centralnego jury festiwalu, któremu przewodniczył Julian Przyb, ustalono, że do Poznania, gdzie w dniach 23-25 października br. odbędzie się Ogólnopolski Festiwal, uda się 27 najlepszych teatrów poezji.

Film

Frédéric Rossif ukonczył prace nad filmem „Rewolucja Październikowa”. Na konferencji prasowej reżyser powiedział: „Przebywałem w ciągu dwu miesięcy w Związku Radzieckim i przywoziłem stamtąd 15 tys. metrów taśmy. Film, który trwać będzie 105 min., zaczyna się w 1905 r., a kończy się w dniu śmierci Lenina. Naktęcałem zdjęcia na Syberii, w Moskwie, Leningradzie, Zagórsku i wielu innych miejscach. Będzie to film nie tylko o Rewolucji, ale również o Rosji”.

Claude Lelouch, twórca głośnego filmu „Mężczyzna i kobieta”, rozpoczął realizację nowego utworu „Cale zycie mężczyzny”. Film trwać będzie cztery godziny. Pierwszą część nakręcono bezde w konwencji utworu niemego, jako film mówiony — od 1924 r., jako film kolorowy — od 1928 r., wreszcie jako panorama mizny — od 1934 r. Ostatnia część (ok. 1938 r.) rozgrywać się będzie w świecie fantazji. W koprodukcji bulgarsko-włoskiej nakręcony będzie film poświęcony życiu Galileusza. Scenariusz napisał Tullio Pinnelli, scenarzysta „Doce vita”. W roli głównej wystąpi Bjornstrand, ulubiony aktor Ingmara Bergmana. Reżyserować będzie Liliana Cavani. W pracowniach twórczy sołżejski rozpoczęto już życie kostiumów, a robotnicy wnoszą dekoracje uniwersytetu i pracowni Galileusza.

Charlie Chaplin zamierza z córkami Wiktorią (lat 15) i Józefiną (lat 17) wystąpić w nowym filmie. Będzie to współczesna komedia muzyczna, w której główną rolę zagra wkrzeszony na ekranie tramp z melonikiem i bambu postać laseczka, niemiejtelna postać chaplinowskich filmów. Zagra ją, oczywiście, sam Chaplin.



23-letnia Ann Creedon urodziła się w Ameryce Południowej, jest obywatelką polską, występowała w filmach hiszpańskich, włoskich i amerykańskich, teraz jest w drodze do Australii. Ale tam właśnie zima.

ATO 1967 może w przyszłości zostanie uznane przez historyków za okres, w którym amerykańscy Murzyni stracili ostatecznie wiarę w białych” — stwierdza „WALL STREET JOURNAL”. Zdaniem dziennika tegoroczny wybuch wojny w Wietnamie był przewidywalny. „W ciągu minionych kilku lat dano Murzynom nadzieję, a później odepchnięto ich. Pokazano im owoce obfitości, z których nie mogli korzystać. Zachęcano ich do wykazania inicjatywy na rzecz wyzwoleńcza się z dotychczasowych warunków, a potem rzucano im kłody pod nogi, gdy chcieli posunąć się w górę na społecznej i gospodarczej drabinie”.

Piszę ten komentarz 27 lipca. Obejrzałem w telewizji wstrząsające zdjęcia z płonącego Detroit. Miał zapewne rację burmistrz miasta, J. Cavanagh, który po dokonaniu inspekcji Detroit oświadczył, że: „wygląda ono, jak Berlin w 1945 roku lub Warszawa po powstaniu w getcie. Jest to eksplozja o cechach całkowitego chaosu”.

Wiele krzywd musiało się przez lata nagromadzić wśród murzyńskiej ludności USA, jeśli do tej eksplozji doszło. Wydarzenia w Detroit nie sporadyczny wypadek: w 35 miastach amerykańskich doszło do walk o różnym nasileniu i zamieszek. W historii Stanów Zjednoczonych — pomijając oczywiście wojnę Północną z Południem — nie zanotowano podobnych wydarzeń na tak wielką skalę.

Postuchajmy relacji korespondenta PAP, Wiesława Górnickiego, który donosi m. in.:

„Fakt, że gardia narodowa nie mogła sobie poradzić z rebeliantami i konieczne było po raz pierwszy wzięcie wojsk federalnych (jakby dla ironii oddział slynnej 82 dywizji powietrzno-desantowej ściągniętej częściowo z Wietnamu dla uzupełnienia stanu i odпочynku) wskazuje najdotkliwiej na rozmiary zająć i ich zaciekłość. Podobnie jak w Newarku przed tygodniem w Detroit przez wiele godzin trwały formalne walki między wojskiem i rebeliantami, toczące się z użyciem precyzyjnej broni palnej, granatów zapalających, butelek z benzyną, a w późniejszym stadium — nawet z użyciem broni maszynowej. Uderzający też był — podobnie jak w Newarku — wysoki udział snajperów, którzy wyrządzili największe szkody policji, gardii narodowej, a w końcu i żołnierzom 82 dywizji...”

90 zabitych, 5000 rannych, 11000 aresztowanych — taki jest bilans dzisiaj, ale nikt nie jest w stanie przewidzieć, jak dalej rozwiną się wypadki. A straty materialne? Ocenia się że na skutek pożarów wyniosły one ok. pół miliarda dolarów. Koszty operacji wojskowej przekroczyły 300 milionów dolarów, straty gospodarcze, spowodowane głównie zahamowaniem produkcji, wynoszą już ok. miliarda dolarów. W sumie więc prawie 2 miliardy dolarów, mniej więcej tyle, ile wynoszą miesięczne wydatki USA na wojnę w Wietnamie.

Wspomniałem o wojnie wietnamskiej mimochodem, a przecież to, co się dzieje w delcie rzeki Mekong znajduje swój rezonans nad Missisipi. Poszukując dodatkowych funduszy na wydatki zbrojeniowe rząd amerykański dokonuje drastycznych cięć w budżecie. Ma rację komentator „Zycia Warszawy”, kiedy stwierdza, że gdyby choć część tych miliardowych funduszy które pochłania brudna wojna w Wietnamie przeznaczyć na poprawę losu Murzynów w USA, na budowę dla nich nowych dzielnic mieszkaniowych, na polepszenie sytuacji w szkołach dla dzieci murzyńskich, na zatrudnienie bezrobotnych murzyńskich — niewątpliwie nastąpiłoby rozładowanie narastającego od lat kryzysu.

Ludność murzyńska w USA stanowi 11 proc. obywateli tego kraju. Wśród Murzynów, którym udało się znaleźć jakieś zajęcie, pracujący w charakterze pomocy domowej oraz plastujący funkcje windziarzy, pucybotów, zamiataczy ulic, dozorców itp. 35 proc. pracujących Murzynów — to robotnicy niewykwalifikowani, kierowani do najcięższych robót. Tak w praktyce wygląda amerykańska równość. Jeśli ktokolwiek

na świecie ludzi się, że w Stanach Zjednoczonych nastąpiły w tym względzie pewne zmiany, ostatecznie wydarzenia mogły łatwo wyprowadzić go z błędu.

Jeszcze dwie charakterystyczne liczby. Na prowadzenie wojny w Wietnamie przewidziano w br. 24 miliardy dolarów. Natomiast na tzw. program walki z ubóstwem — niecałe dwa miliardy dolarów. Te proporcje mają dostateczną wymowę.

Dość warto, że w tymże Wietnamie w szeregach wojsk USA jest znacznie większy procent Murzynów niż wynikałoby to z faktu, iż stanowią oni 11 proc. społeczeństwa amerykańskiego. Tu nie dyskryminuje się Murzynów, bo krew jest zawsze czerwona.

Co będzie dalej — zastanawiają się komentatorzy prasowi. Dziś nikt nie jest w stanie odpowiedzieć na to pytanie. Reakcyjna prasa amerykańska z niepokojem odnotowała czterodniowe obrady konferencji zwolenników „władzy dla czarnych”. Konferencja ta odbyła się ostatnio w Newarku, były na niej reprezentowane wszystkie tendencje polityczne Murzynów w USA. Jedną z rezolucji wywołano do przyjęcia zasady, że „obok narodu białych istnieje w USA naród Murzyńszczyzny”, druga zaś przewiduje powołanie do życia murzyńskiej milicji. Wśród uchwał powziętych przez konferencję są takie jak np.: paramilitarne szkolenie wszystkich młodych Murzynów, rozpoczęcie na większą skalę kampanii ekonomicznej prowadzonej pod hasłem: „kupując tylko u Murzynów”, utworzenie instytutu kształcenia politycznych kadr murzyńskich.

Również i inne wydarzenia wywarło duże wrażenie w USA. Oto Rap Brown, przewodniczący Studentenckiego Komitetu Koordynacji Biernego Oporu, oświadczył: „Znaleźliśmy się na progu rewolucji murzyńskiej. Masz naszego ludu udrapowanego zostały w ruch, odpłacając nieprzyjacielowi uet za uet, odwołując się do gwałtu kontrowersyjny gwałtem rewolucyjnym, stosując zasadę oko za oko, zęb za zęb, życie za życie. Rebelie te są zaledwie próbą generalną przed prawdziwą rewolucją”. A b. przewodniczący tegoż Studentenckiego Komitetu, który przybył do Hawany na obrady Konferencji Solidarności Latynoamerykańskiej, Carmichael, wypowiedział się za organizowaniem murzyńskich grup powstańczych w USA „do walki na śmierć i życie”. Zdaniem komentatorów hasło to wcale nie jest nonsensowne, w obecnej atmosferze może ono z powodzeniem trafić do mas murzyńskich. Chyba zdaje sobie z tego sprawę i FBI, które nagłe rzuciło na rynek nowe wydanie podręcznika pouczającego o sposobach prowadzenia walk ulicznych.

W tej napiętej sytuacji prezydent Johnson nawołuje do powszechnych modłów oraz... zaleca ministrowi obrony, aby ten opracował specjalne zalecenia dla szkolenia jednostek wojskowych przystosowanych wyłącznie do uśmierzania rozruchów w mieście. Czyżby wspomniany wyżej podręcznik FBI posiadał pewne luki? Jednocześnie w Kongresie USA daje się zauważyć pewien podział. Jest to właściwie tradycyjny już spór: jedni senatorzy domagają się ostrych sankcji wojskowych i policyjnych (senator Robert Byrd oświadczył np.: „Powstanie w miastach należałoby zdławić przy użyciu brutalnej sily... Dorosłych osobników przyłapanych na płażowaniu należałoby na miejscu zastrzelić... a tobuzów i strzelających z ukrycia nie można już dłużej traktować łagodnie”), drudzy natomiast są za połączaniem natury ekonomicznej (senator Jacob Javits wysunął propozycję, aby problem runder mieszkaniowych w większych miastach został rozwiązany przy pomocy czegoś w rodzaju planu Marshalla: na realizację tego planu trzeba by wydawać rocznie, przez lat 10, po 3,5 miliarda dolarów).

Gdy ten komentarz może się wyjaśnić, życie odpowie na dzisiejsze znaki zapytania. Niezależnie jednak od dalszego rozwoju wypadków problem murzyński w USA daleki jest od generalnego rozwiązania: A jak na razie, nie zanosi się na zasadniczą zmianę polityki USA.

Pragnienie

Basz

Nie zlatywali się aniłowice ze srebrnymi pucharami dziewczęta nie przynosiły glinianych dzbanków napełnionych chłodnym udojem Spragniony leżalem pod jałowością chmur — daremnie ani kropki

Tylko słowa wyschnięte bluznierczo muskały mi wargi A obok wezbrana rzeka pęta ukojenta

Pamięciowracanie II

Z wnętrza najgłębszych przez pół nocy przez chwilę przez czas niewyobrażalny jak początek i koniec czasu

poszum z falujących snów wystuchuję wszystkimi porami całą powierzchnią płuc skradaniem się palców w ciemności

Pamięć się niepokoi pęczniewie szpileczkami nerwowych poszukiwań i niezdeterminowanie odchodzi omdlewaniem chaotycznym Dopiero po latach przypominam sobie szelest twoich włosów na zakręcie wiatru Marzec 67

Zamóć

CZESŁAW MOLENDĄ

Cheć cię poznać

Puściłaś pędzel szlakiem wyobraźni

Zatrzymujący się co chwilę

Mysząc o poczęć?

Czy dalej autem?

Czy lepiej pociąg?

Bezszelestna łąka bez wion,

Strumyk bez zmeru

Niema radość dziecięca

Z ustami złożonymi do uśmiechu

Złowiona iskra w sidła

sosnowych szczap

Na przynętę suchego igliwia

Jak kuropatwa się trzepocze.

Jak lęklivy Kasztan z rozziwaną

grzywą dymu

Staje dęba przed mostem.

Sarna uczuciem piękna zwabiona

W biegu pod lasem zastępla

Przyglądam się z bliska,

Cheć cię poznać

nie z wygiętych

nie z narzutek.

Kaliszany pow. Opole Lub.

NIEWINNEMU krzywdą się nie stanie

Drugie wspomnienie o Jerzym Sawickim

KONRAD BIELSKI

P IERWSZE miesiące po wyzwoleniu były niełatwe i wyjątkowo pracowite. Wszystkie trzeba było zaczynać od nowa, a przede wszystkim dać podstawy prawne wszelkim poczynaniom. Uniknięcie anarchii i bezładu w dobie rewolucji należało przede wszystkim do spraw najważniejszych. Ustawy pozostały stare, a warunki stworzyły się zupełnie odmienne i nowe, a wiadomo przecież, że okres tworzenia nowego ustawodawstwa liczyć trzeba na długie lata. Z konieczności więc należało posługiwać się ustawodawstwem doraźnym, w formie dekretów, rozporządzeń i specjalnych ustaw. One to miały uzupełniać i zmieniać dotychczas obowiązujące kodeksy w tej części, gdzie stały się nieaktualne i wyraźnie nieprzydatne do zmienionych warunków życia.

Najbardziej palącym problemem i wymagającym szybkiego rozwiązania było ustalenie zasad odpowiedzialności za zbrodnie popełnione przez okupanta oraz jego adherentów i kolaborantów. Społeczeństwo domagało się tego. Czekano na procesy i żądało sprawiedliwej kary, która byłaby tylko skromnym zadośćuczynieniem za poniesione krzywdy i cierpienia.

Jednak dla prawnika sprawa nie była taka łatwa; stanął on w obliczu ustalonych od wieków reguł i kanonów, które poparte autorytetem mnóstwa uczonych stały się już właściwie nienaruszalnymi dogmatami. Choćby ta stara od czasów rzymskich wywodząca się zasada: lex retro non agit (Prawo nie działa wstecz). Każdy ortodoksyjny prawnik nie wyobrażał sobie, jak ja można złamać lub ominąć. A jednak w dotychczas obowiązujących kodeksach nie było przewidzianych stanów faktycznych, pod które można byłoby podciągnąć działalność okupanta. Trzeba więc było stworzyć nowe prawo i przekreślić stare nakazy. Lecz to nowe rewolucyjne prawo musiało być należycie uzasadnione i opierać się na fundamentach głęboko pojętego humanizmu.

I tu właśnie wspaniale zabłysnął nieprzeciętny talent Jerzego Sawickiego. Okazał się znakomitym dyalektykiem interpretatorem i komentatorem nowych ustaw. Występuje jako prokurator przed Sądem Specjalnym wygłosił szereg błyskotliwych i interesujących przemówień. Wykładał i tłumaczył w sposób trafny i przekonujący nowe zasady prawne, a że jeszcze był znakomitym mówcą i żarliwym humanistą przedko podbił audytorium i stonownie zyskiwał coraz więcej pokłask i uznanie nawet u przeciwników. Szczególnie zasłynął w pierwszym na ziemiach polskich procesie tzw. „maidankowskim” chociaż na ławie oskarżonych zasiadali tylko pięciu przypadkowo schwytanych i to podrzędnych oprawców — oskarżeniem objęty został cały ten

system, który stworzył obozy zagłady, wśród nich i Majdanek.

To, co mówił i wywodził i co podówczas zdawało się zaskakujące i nowe, znalazło później całkowite potwierdzenie w Procesie Norymberskim. Trzeba jednak zapamiętać, że oskarżenie sformułowane w ten sposób zabrzmiało po raz pierwszy w Lublinie w roku 1944, na małym skrawku wyzwolonej ziemi polskiej i rzecznikiem był Jerzy Sawicki.

Wśród moich pamiętek znajduje się mała książeczka, dziś kompletny unikat, wydana przez Spółdzielnię „Czytelnik” drukowana w Krakowie w roku 1945 tytuł: „Zbiór przepisów specjalnych przeciwko zbrodniarzom hitlerowskim i zdrajcom narodu z komentarzem” — autorzy: dr Jerzy Sawicki, dr Bolesław Walicki. Z taką dedykacją: „Kondziwoi na pamiętkę rozmów pod topolami w cieniu śmierci, z uściskiem dłoni — Sawicki”.

Przyjaźń nasza, zawarta w tak niezwykłych okolicznościach w czasie okupacji, trwała niezmiennie. Widywałem się z nim bardzo często. I to nie tylko na wspólnych biesiadach i dyskusjach, lecz i na sali sądowej w charakterze przeciwników. Jako adwokat i obrońca niejednokrotnie skrzyżowałem ostrza z Sawickim i muszę przyznać, że był partnerem niebezpiecznym, ale lojalnym i sprawiedliwym.

Przypominam sobie jeden epizod, który pragnę przytoczyć dla zilustrowania jego podejścia do spraw.

Adwokat lubelscy wówczas niechętnie podejmowali się obrony przed Sądem Specjalnym. Jeszcze świeże i nie zagojone rany okupacyjne, niezatarte wspomnienia tyłu zbrodni i podłości, nastawienie wrogie społeczeństwa do każdego, kto zasiadł na ławie oskarżonych — stanowiły atmosferę nie sprzyjającą swobodnej obronie. Tym bardziej, że i ówczesna prasa piętnowała niejednokrotnie ażeby pochopnie, jeszcze przed zapadnięciem wyroku, oskarżonego, a często i jego obrońcę. Ja natomiast byłem odmiennego zdania. Uważałem, że każdemu człowiekowi należy się rzetelna obrona, a że w czasach ogólnego jeszcze rozgardiaszu i zamętu zdarzają się osobiste rozgrywki, ujawniają niskie instynkty i niejednokrotnie człowiek absolutnie niewinny na skutek brudnych intryg i donosów znajduje się na ławie oskarżonych, a i zdarzało się, że padał ofiarą tak zwanej omyłki sądowej — tym bardziej mnie to utwierdziło w moim przekonaniu.

Pewnego razu podjąłem się obrony człowieka, który nie tylko, że nie nie zawiął, lecz wręcz odwrotnie — w czasie trwania całej okupacji okazał wielką pomoc wszystkim potrzebującym, przechowywał Żydów i współpracował ściśle z ruchem oporu. Wskutek jednak miejscowych zawiści i porachunków, popartych anonimowymi donosami, został aresztowany, a prowadzone tendencyjne śledztwo zaprowadziło go w rezultacie na ławę oskarżonych.

Sprawa była bardzo zła i groźna. Obrona niezwykle utrudniona. Wielu ważnych dowodów nie można było na razie przedstawić, świadkowie byli albo nieuchwytni, bądź też, z uwagi na specjalne okoliczności, mogli się ujawnić. Jedyną karą, jaka mogła być w tym wypadku orzeczona, to kara śmierci. Apelacji od wyroków Sądu Specjalnego nie było.

Wszystkie możliwe środki w celu obrony zmobilizowałem. Niestety — bezskutecznie. Falszywi oskarżyciele, co prawda, na rozprawie mieli się nie stawić, zabrakło im odwagi, lecz ich zeznania i tak zostałyby odczytane (taki obowiązywał przepis) i wyrok skazujący pewny. Niewinny człowiek stracił życie i to z piętmem zdrady.

Na dwa dni przed rozprawą udałem się do Sawickiego i wszystko mu opowiedziałem, nie ukrywając również tych

szczegółów, których nawet Sądowi wtedy jeszcze nie mogłem ujawnić. Wyszuchał mnie uważnie, zadając kilka dodatkowych pytań, po czym powiedział: „Ja ci pomogę. Bądź spokojny. Niewinnemu krzywdą się nie stanie”.

Gdy z wielką treścią udałem się na rozprawę główną, na stole sędziowskim leżało już pismo prokuratury wnioskujące zwrot aktów sprawy celem sprawdzenia szeregu nowych okoliczności. Pismo podpisał Sawicki. Sprawa spadła z wokandy.

Kiedy powróciła znowu do rozpoznania po upływie przeszło pół roku, już w zmienionych warunkach, przewód sądowy ujawnił całą prawdę bez żadnych osłonek i zapadł wyrok uniewinniający.

Nie tylko w sądzie spotykałem się z Sawickim. Był częstym gościem u nas w domu, a również nie stronił od knajpy i kawiarni. W tym czasie w Lublinie spotykało się wielu ciekawych ludzi. Sawicki był często inicjatorem niecodziennych spotkań. On przecież sprowadził do nas na obiad Stefana Litauera bezpośrednio po jego przyjeździe do Lublina z Londynu, zanim jeszcze spotkał się z oficjalnymi osobami. Pamiętam, był wtedy jeszcze prof. Wawowski. Obiad trwał sześć godzin.

A niezapomniane wieczory, gdy profesor Hirsfeld w niewielkim gronie czytał nam świeżo napisane rozdziały swej słodkiej książki.

Wiele, wiele podobnych chwil spędziłem razem z Sawickim.

Później przeniósł się do Warszawy, jeździł za granicę, brał udział w Procesie Norymberskim, pracował, pisał, wykiadał...

Spotykaliśmy się rzadziej, ale zawsze bardzo serdecznie. Ostatni raz widziałem go w Warszawie na jubileuszu Karola Borowskiego. Umawialiśmy się właśnie na dłuższe spotkanie, by się nagadać do woli i omówić tyle wspólnie nas obchodzących i łączących spraw. Niestety. Niedługo potem przeczytałem w gazetach wieść o jego nagłej śmierci. Odszedł w pełni sił, w najlepszym rozwoju pracy twórczej.

O jego wielkim dorobku, naukowym będą zapewne dużo pisać inni, bardziej kompetentni ode mnie. Ja na zakończenie tych bardzo osobistych wspomnień, w związku ze śmiercią przyjaciela, dorzucę jeszcze kilka słów.

Wielu znalazłem w życiu wybitnych prawników, teoretyków i praktyków, lecz nie spotkałem drugiego takiego, jak Sawicki. Był on jedyny i niepodobny do nikogo. Głęboką wiedzą prawniczą potrafił obdzielić i książki madre i błyskotliwe felietony, które mu jednemu sympatyki i wdzięczności tysięcy czytelników. Zarłowy szermierz i propagator najszlachetniejszego humanizmu, czemu dał dowód swym udziałem w Procesie Norymberskim i w wielkiej ilości na ten temat napisanych pasjonujących książek i artykułów. Świetny mówca, zarówno na sali sądowej jak i na katedrze uniwersyteckiej. Nieprzeciętny erudyta o wiedzy encyklopedycznej, odarzony ponadto genialną pamięcią. Tytuł pracy, znajdujący jednocześnie czas na wszystko. Mogł być pewnym, że go spotkaż w teatrze na ciekawej sztuce, na dobrym koncercie, czy też na interesującej wystawie. Zaproszony przy spotkaniu nie odmawiał udania się po spektaklu na lampkę wina do nocnego lokalu i potrafił długo siedzieć i gawędzić w gronie przyjaciół. A gawędziarz był też wybory!

Powiadają, że nie ma ludzi niezastąpionych. Być może. Ale aby zastąpić jednego Sawickiego potrzeba przynajmniej kilku i to nie byle jakich. I dlatego go nazwalem modo antiquo: Vir incomparabilis.

przez narzeczoną, wyszedł z domu i nie wrócił. Na moście Poniatowskiego znalazł jego garderobę. Rodzina sądziła, że się utopił. Jednakże w miesiąc potem dwaj jego dobrzy znajomi widzieli go w małym miasteczku w woj. kieleckim, zatrudnionym tam zresztą kolarzem. W zwłokach szesnaście godzin później swego brata pewien mężczyzna z Olsztyna, a swego męża — pewna kobieta z Szczęsina. Wydanie przez odpowiednie władze ostatecznej decyzji identyfikacyjnej było zadaniem trudnym.

Nie mniej trudne do wyjaśnienia są te zagadki, kiedy egzłówek zaginiony padł ofiarą zbrodni, a morderca starał się za wszelką cenę zatrzeć wszelkie ślady.

Zi marca 1966 roku w powiecie opolewskim zaginal 41-letni mężczyzna, żona, mający troje dzieci. Po pięciu miesiącach znaleziono jego zwłoki, związane drutem i spalone. Długo trwało dochodzenie ustaliło, że zabójstwa dokonano z pomocą syna i córki, zaledwie przez pomoc syna i córki, zaledwie przez śmierć brata swego męża — zabił go uderzeniem noża w plecy. — Zarzyciele publiczni nie byli jednak w stanie zebrać pełnego materiału dowodowego i w rezultacie mordercy nie udowodniono jedynie udział w bóje, w której zginął człowiek i skazano ją na 10 lat więzienia. Wkrótce po wyjściu na wolność dokonała nowej zbrodni. A podobnie tego wszystkiego były spory majątkowe.

Komunikaty o poszukiwaniu zaginionego człowieka, drukowane w prasie najdrobniejszym drukiem, mogą być sygnałem zupełnie banalnej lub śmiesznej sprawy, mogą jednak też stanowić sygnał rozgrywającej się gdzieś tragedii. Komunikaty o znalezieniu zwłok nieznannej osoby wstrząsają zawsze. Każda sprawa jest podobna do jakichś, jakie już były i każda ma w sobie coś zupełnie innego, nietypowego. Zaden ustrój polityczny, ani żaden rząd nie są w stanie zapobiec tragediom ludzkim wynikłym na podłożu osobistym — choćby nawet zlikwidowały wszystkie tragedie osobiste zrodzone na podłożu stosunków społecznych. 1 lipca 1967 roku Komenda Wojewódzka MO w Lublinie miała w swych rejestrach fotografie 10 osób pozbawionych pamięci, których tożsamość usiłowało ustalić w drodze poszukiwań. Służba kryminalna KW MO poszukiwała 41 osób zaginionych i usiłowała zidentyfikować zwłoki 18 osób. Takich spraw nie umarza się. Duża część zaginionych figuruje na tej liście od pierwszych lat powojennych, kiedy czasy były niespokojne, ruchy migracyjne duże, a ten i ów człowiek miał różne grzeszki na sumieniu, więc zniknął i wtopił się w nowe środowisko. Z 18 nie rozpoznanych zwłok — 17 też pochodzi z pierwszych lat po wojnie.

Alle ostatnia z pozycji na tej liście to zwłoki kobiety znalezione w lesie koło Piskorowa — o których była mowa na wstępie. Komunikat KW MO z roku 1963 podaliśmy dlatego w całości, bo jest on nadal aktualny. Zamieszczano go tyle razy w całej prasie, a mimo to nie było żadnego odzewu. A przecież nawet najbardziej samotni ludzie nie są całkowicie samotni.

Ten dramat niezauważalnego zniknięcia człowieka w czasach pokoju, stabilizacji, zorganizowanego życia społecznego, to już temat sam w sobie. Może ograniczenie pracy dziennikarskiej do jednego tylko wątku uczyniłoby ją ciekawszą. Reporter musi jednak realizować zamówienie redakcji i starać się przedstawić cały problem. Lecz przy pisaniu tamta sprawa wciąż nie dawała mi spokoju. Człowiek nie jest przecież dzikim ptakiem, który może żyć przez 25 lat i zniknąć nie zauważony. A jednak. Zwłoki znalezione w Piskorowie zostały pochowane na koszt rady narodowej. Na pogrzebie obecny był tylko jeden człowiek: oficer MO prowadzący dochodzenie w sprawie, która wciąż czeka na rozwiązanie.

Romuald Wiśniewski

* Pierwsze wspomnienie K. Bielskiego o J. Sawickim zamieściliśmy w 13 nrze „Kamery”.

J. P. Sartre'a

STANISŁAW DZIECHCIARUK

kontakcie z otoczeniem. Nie można o nim powiedzieć po prostu: jest. Należałoby raczej rzec: staje się, spełnia, urzeczywistnia. Człowiek jako istota rozumna podlega bowiem procesowi nieustannej przemiany. Zrozumieć — zdaniem Sartre'a — to znaczy zmienić się, wyjść poza siebie; przeżyć — znaczy — przetrwać, stworzyć możliwość działania. Człowiek jest zawsze poza sobą w swojej woli, potrzebie, namietności. Istnienie — to owo nieustanne wyrwanie się z siebie ku obiektywizacji.

Alle właśnie owa obiektywizacja, owa zewnętrznosc stanowi dla indywidualności ludzkiej siłę niszczącą. Ona to bowiem sprawia, że życie ludzkie przybiera z reguły postać nieautentyczną; że myśli, uczucia, Postawy, czyny człowieka wyznaczane są przez zespół całkowicie sztucznych w istocie norm, obyczajów, konwencji społecznych. Człowiek prowadząc społeczny tryb życia przestaje być sobą, zatracca się, ulega anonimowej sile „Się” (heidegger-

rowskie das Man). Robi wszystko tak, jak robią inni, jak „się robi”. Chodzi tak, jak „się chodzi”, je tak, jak „się je”, śmieje tak, jak „się śmieć należy”. Sytuacja taka banalizuje ludzi, niweluje wszelkie różnice między nimi, zabija indywidualność, zwalnia niejaką z wszelkiego indywidualnego rozumienia i przeżywania czegokolwiek. Społeczeństwo fałszuje więc człowieka, czyni go nieprawdziwym, sztucznym. Traci on własną tożsamość na rzecz tożsamości z owym anonimowym „Się”. Miejsce autentyzmu zajmują bon ton i savoir vivre. Cokolwiek by się rzekło o wartości podobnych rozważań nie sposób nie zauważyć, iż sedno całej sprawy stanowi tu — jak sądzę — stary mieszczański konflikt pomiędzy jednostką a społeczeństwem, na kanwie tej filozofii — jak widać — nierozwiązywalny.

Do fałszowania człowieka przyczynia się także mowa. Język nie przystaje bowiem do rzeczywistości, upraszcza ją, schematyzuje. Słowa

przez swoją ogólnosc tracą indywidualny walor treściowy, a tym samym przestają cokolwiek znaczyć. Co oznacza słowo „piękny” w odniesieniu do tak różnych przedmiotów, jak: człowiek, zjawiska przyrody, dzieła sztuki, wypowiedziane w dodatku przez wielu ludzi? Czego wyrazem jest wyznanie miłosne ujęte w stereotyp „kocham”, kiedy wypowiedziane jest jednocześnie tysiące ludzi z jakże różnych powodów? Jeśli więc język potoczny nie jest w stanie wyrazić treści indywidualnych — jakże kaleki pod tym względem jest język dyskursywny, język nauki. Wszelkie poznanie naukowe polega wszak ex definitione na odkrywaniu cech ogólnych właściwych całej klasie jednorodnych zjawisk. Nauka pomija zatem programowo to, co jest najbardziej interesujące — to, co jednostkowe, indywidualne, niepowtarzalne; przechodzi obojętnie obok tego, co stanowi o urodzie świata, co sprawia, że jest on niebanalny, złożony, wielobarwny. W miejsce żywego świata konstruuje jego martwy szkielec. Stąd tradycja filozofii egzystencjalnej stał się daleko posunięty sceptycyzm w traktowaniu wartości nauki.

Czynnikami fałszującym człowieka, zabijającym jego autentyzm i uniemożliwiającym wszelki jego rozwój jest także przyzwyczajenie. Człowiek zatracca się w stereotypach własnych przyzwyczajęń, upodobań, nawyków, pora które nie wykracza, które stają się z bie-

giem czasu nieprzekraczalną barierą jego rozwoju.

A jednak autentyczność człowieka jest możliwa. Jest on bowiem istotą wolną, zdolną do wyzwolenia się nie tylko spod panowania Boga, przyrody, historii, lecz także spod władzy fatalnej siły owego „Się”. Przy tym wolność jest tu pojmowana w duchu skrajnie indywidualistycznym, jako postępowanie nie oparte na zewnętrznych nakazach (u Heideggera) bądź jako „przystugiwanie woli do możliwości zdeteminowania samej siebie” (u Sartre'a). Czy możliwa jest taka, niczym nie ograniczona wola? Tak — odpowiada Sartre. Człowiek jest panem własnego losu. Jego przeszłość może być wszak zmieniona przez jego przyszłość — to, czego dokonał przez to, czego jeszcze dokona. Jest więc człowiek nie tylko przeszłością, ale przede wszystkim przyszłością (egzystencja poprzedza esencję). Przyszłość jest czynną, czego jeszcze nie ma — jest nicnością, a nicność nie może być zdeteminowana. Dlatego to człowiek jest absolutnie wolny. Dlatego może wciąż od nowa dokonywać wyboru. Tak rozumiana wolność i związana z nią samotność (jeśli nad człowiekiem nie nie panuje — to jest on skrajnie samotny, „opuszczony przez Boga i ludzi”) stanowią o istocie ludzkiego autentyzmu — o człowieczeństwie. W sartr'owskiej koncepcji wolności porównywalna przy tym nuta swobodnego egalitaryzmu. Zaden człowiek nie

może być bardziej człowiekiem, niż inni — napisze Sartre w „La Liberté cartésienne” — „ponieważ wolność jest to każdym nieskończona... Jeśli Aleyblades i niewolnik zrozumieją tę samą prawdę, będą oni całkowicie sobie równi w tym właśnie, że ją zrozumieją”.

Egzystencjalizm zajmuje się wolną jednostką. Poszukuje jej indywidualności i niepowtarzalności. Jest bowiem przekonany, iż tylko tak pojęty człowiek jest istotą autentyczną. Człowiek obdarzony nieskończoną wolnością, a raczej — by użyć zwrotu Sartre'a — „skazany na wolność”, rozpatrywany w aspekcie swojej niepowtarzalności staje się absolutem. Bogiem; kimś jedynym, niezastąpionym, kto swoją odrębnością nigdy nie powtórzy się w nikim innym. Kartezjusz — powiada Sartre — jako człowiek, który kochał bez wzajemności piękną dziewczynę, który zrobił brzech własnej służącej, który głosił takie, a nie inne poglądy — był absolutem. W ten oto sposób, nieprzejędny w walce z metafizyką tradycyjną — tworzy egzystencjalizm metafizykę nową; obaliwszy Boga — do piedestału boskiego podnosi człowieka.

Jakie są szanse ujawnienia owego człowieka autentycznego — owego

(Dokończenie na str. 8)

zywa kremlofskim marzycielem. W tym miejscu wielkiemu fantazji, który rozstrząsał wizję zdobycia Księstwa, zabrał jednak wyobraźni. Nie sądziłbym go zbyt surowo. Był rok 1920, rok, kiedy Wells został „ziemię pokrytą ruinami, porzuconymi relikwiami i odlamkami starej rozwalonej maszyny państwowej, z tym samym upartym chłopcem, mocno trzymającym się przydzielonego mu kawałka ziemi — i komunizm, odważnie i skutecznie sprawujący władzę w miastach, aczkolwiek pod uciętym względami przypominał na mapie, który zapomniał przynieść ze sobą gołębia i królika i nie ma nic, co by mógł wyciągnąć z cylindra...”

I na tej ziemi, pokrytej ruinami, Wells spotyka Lenina, który rozstrząca przed nim wizję elektryfikacji.

21 LIPCA 1967... Dział znalazłem krótką informację w prasie: „Niedawno wyruszył na próbną jazdę nowy supernowoczesny pociąg ekspresowy Aurora, obsługujący trasę Moskwa — Leningrad. Pociąg wyposażony jest w najnowsze urządzenia sygnalizacyjne, klimatyzację oraz urządzenia świetlne, pozwalające jechać przy bardzo nawet słabej widoczności. Pociąg rozwija szybkość do 180 km/godz. i w ciągu czterech godzin przebywa trasę z Moskwy do Leningradu.”

Wells w 1920 r. pokonywał tę trasę w ciągu 22 godzin. Informacja, którą przytoczyłem, zwalnia od innych komentarzy. Nietrudno zresztą dzisiaj udawać mądrego.

Nietrudno, bo jest Dnieprowska Elektrownia Wodna o mocy 650 tys. kW. Bo jest Wołżańska Elektrownia Wodna o mocy 2,3 mln kW. Bo jest

który okazał mi tyle serdeczności. Serdeczność była tym większa, że ojciec przełożył wiele wierszy Tanka na język polski, drukując je w przedwojennych numerach „Kamienia”. Kilka numerów przetrwało u Tanka do dnia dzisiejszego. „W Polsce — mówił nie bez pewnego żalu wielki poeta białoruski — za mało popularyzuje się naszą literaturę, za mało pisze o naszym dorobku kulturalnym. A przecież jesteśmy najbliższymi sąsiadami. Czasem odnośną wrażliwość, że wy więcej wiecie o pisarzach syberyjskich niż o tych, którzy tworzą przez naszą przemoc. W tych słowach na pewno było trochę racji. Obiecywałem to chociaż naprawiam na własnym, kamienowym podwórku, ale, jak dotąd, wielkimi sukcesami na tym polu poszczycić się nie możemy.

Rano zjadłem śniadanie w wagonie restauracyjnym, a gdy wróciłem

mnie po ramieniu i tłumaczy, że i w ZSRR ciągle jest jeszcze wiele dysproporcji, zwłaszcza między miastem a wsią. „Z każdym rokiem — dodaje — jest jednak lepiej. Wszystko będzie dobrze, byle tylko był pokój na świecie. A wiecie, co imperialiści amerykańscy robią w Wietnamie?”

Jak nie wiedzieć? W pół wieku po Rewolucji Październikowej świat daleki jest od sielanki.



Schrony w Hanoi

Optymizm i niepokoje

„I oto Lenin — pisze Wells — który jak każdy prawdziwy marksista chętnie kpi z wszelkich „utopistów” w końcu sam stał się ofiarą utopii elektryfikacji. Czyni wszystko, co jest w jego mocy, by zbudować w Rosji wielkie elektrownie, które będą zasilaty całe gubernie w energię potrzebną do oświetlenia, transportu i celów przemysłowych. Lenin oświadczył mi, że w celach doświadczalnych zelektryfikowano już dwa rejonny. Czy można sobie wyobrazić bardziej zuchwały plan, który ma być realizowany w tym obrzydliwym, równinnym, pokrytym lasami kraju, zaludnionym chłopami nie umiejącymi ani czytać ani pisać, pozabawionym źródła energii wodnej, nie rozporządzającym ludźmi o wykształceniu technicznym, w którym handel i przemysł niemal zamarły? (...) Doprawdy wymaga to nie być jakiego wysiłku rozigranej wyobraźni. Jeżeli chodzi o mnie żadną miarą nie potrafię sobie wyobrazić tej Rosji przyszłości. Ale ten niezwykły, niewielkiego wzrostu człowiek na Kremlu posiada wielki dar wyobraźni. On już widzi, jak zamiast dzisiejszych zużytych pociągów zacząć kursować nowe, elektryczne, widzi, jak wstąpi nowo zbudowanych szos przetrną cały kraj, jak na gruzach przeszłości rozkwitną szczęśliwe uprzedmiotowane państwo komunistyczne.”

Bracka Elektrownia Wodna o mocy 3,6 mln kW. W perspektywnym planie produkcja energii elektrycznej ZSRR ma w 1980 r. wynieść ok. 3000 mld kW, prawie półtora raza więcej, niż wynosi obecna produkcja wszystkich krajów świata.

Czy Wells dzisiaj mógłby to sobie wyobrazić? Kremlofski marzyciel widział to już w 1920 roku...

Trzy razy byłem w Kraju Rad, niestety, trudno mi robić osobiste porównania, gdyż wszystkie wyjazdy wypadły w latach szóstki i siedmki. Reportaży z trzeciej podróży nie dokończyłem nawet w „Kamieniu”, bo powołano mnie na ćwiczenia wojskowe. Później trudno już było wracać, aczkolwiek ciągle czuję żal do siebie, że nie opowiedziałem o ludziach, którzy okazali mi tyle serca i pomocy.

Oto podróż pociągami z Mińska do Kijowa. Gdzieś koło drugiej w nocy ekspres z Tallina czy z Rygi wtacza się na miński dworzec. Punktualnie, co do minuty, mogę wyregulować zegarek. Konduktorka daje mi pościel, zajmując miejsce w kuzetce. W sąsiedztwie rozkłada się małżeństwo. On, major; jada na Krym do rodziny. Długo nie mogę usnąć, raz jeszcze przeżywam spotkanie z Maksymem Tankiem, redaktorem naczelnym białoruskiego miesięcznika literackiego „Polymnia”,

do przedziału, major i jeszcze jeden przygodny podróży, który wsiadł po drodze, gorąco zaczęli mnie częstować pieczywną kurczakiem i białoruską wódką. Major, jak się wkrótce okazało, zna Polskę z czasów wojny. Był wówczas szeregowcem, chyba w wieku tego krasnoarmiejca, o którym wspominałem na początku. Mówi o jakiejś Zosi, którą poznał na Lubelszczyźnie, gdzie stacjonował przez kilka miesięcy. Ale żona już go strofuje, trochę żartobliwie a trochę poważnie, wygląda, jakby o tę Zosię ciągle była zazdrosna. „Samego już go do Polski nie puszczę” — grozi.

Białoruska wódka, pita w musztardówkach, rozwiązuje języki. Już nie o Zosi mowa, ale o problemach dnia dzisiejszego, o błędach popełnionych przez Chruszczowa w gospodarce rolnej, o polityce obecnego kierownictwa, które mniej mówi, mniej społeczeństwu obiecuje, ale efekty są coraz większe. A potem cała lawina pytań dotyczących Polski. A więc rolnictwo przede wszystkim. Co to takiego kółka rolnicze? Jak wygląda polityka państwa wobec kościoła? Jak przedstawia się stopa życiowa? Tu już konkretnie: zarobki i ceny podstawowych artykułów. Gospodarze szybko przełączają na ten ruble, porównują. Te porównania nie zawsze wychodzą dla nas korzystnie. Ale major klepie

21 LIPCA 1967... We francuskim tygodniku „LE NOUVEL OBSERVATEUR” Jean Lacouture zamieszcza artykuł pod znanym tytułem „Podzwonne z Da Nang”.

Właśnie przed kilkoma dniami artyleria Vietcongu zaatakowała w nocy tę wielką bazę amerykańską. Dowódcą 366 eskadry myśliwców taktycznych w Da Nang oświadczył prasie, że ogień był nadzwyczaj celny. Cały teren bazy, obszar o powierzchni 640 hektarów, dostał się pod ostrzał przeciwnika. Pierwsze pociski spadły na pasy startowe, a następnie serie „wędrowały” wzdłuż pasów startowych z wyraźnym celem uniemożliwienia wykorzystania tej bazy dla operacji powietrznych

Kartki z 1944 r.

O D dnia 15 sierpnia 1944 roku pułki 2 Dywizji Piechoty AK maszerowały na odciec Powstania Warszawskiego. Z lasów siekierskich na północ od Kielce, wyrusza 2 pułk, którym w zastępstwie majora „Kruka” (Antonięgo Wiktorowskiego) dowodzi kapitan „Nurt” (Eugeniusz Kaszyński) idąc szybkimi marszami w kierunku Świnie Góry. Tym samym szlakiem maszeruje spod Siekiera 4 pułk majora „Wyrwy” (Józefa Włodarczyka). Ten dzielny i postepowo myślący oficer jeszcze przed dwoma tygodniami współpracował na terenie przyczółka sandomierskiego z wojskami radzieckimi, które sforsowały Wisłę. 3 pułk, którym dowodzi kapitan „Świątek” (Stanisław Poreda), zebrał się w lasach pod Nieklaniem i Gowarczowem i stąd nocnym przemarszem dołączył do głównych sił 2 Dywizji. Jej dowódcą, pułkownik „Lin” (Antoni Zółkiewski), ma teraz pod swoją komendą 3.500 nieźle uzbrojonych żołnierzy i oficerów. Stanowią oni główną siłę Kieleckiego Korpusu AK, nadzieję planującej stolicy i jej bohaterów obrońców.”

2 Dywizja wygląda na pewno z lotu ptaka jak wielki wąż, pocięty na kilka nieregularnych części. To dlatego, że maszerują poszczególne pułki i bataliony o bardzo nieraz różnej liczebności. Różny jest też stan uzbrojenia pododdziałów 2 DP, zwłaszcza jeśli chodzi o stopień nasycenia bronią automatyczną i maszynową, różnie też bywa z amunicją. Jednakowy jest tylko zapal, z którym 2 Dywizja idzie na pomoc Warszawie; ogarnia on wszystkich od pułkownika „Lina” po najmłodszego partyzanta.

Na nowiutkiej, przedwojennej mapie „sztabówce” pułkownik „Lin” wykreślił swojej dywizji trasę marszu ku Pilicy, przez teren powiatów kieleckiego i koneckiego. Maszerują więc pułki 2 DP na Sorbin, Odrowąż, Kolonję Piekło, Antoniów i lasy między Przysuchą a Pilicą. Ciężki to marsz przy sierpniowym upale, przez błędne, wygodzone okolice. Dowódcą Kieleckiego Korpusu pułkownik „Ein” (Jan Zientarski-Lizicki) chce, wierny swojej dotychczasowej taktyce, nadal unikać walk z wrogiem, ale nie potrafi utrzymać na wodzy chłopców z 2 Dywizji. Kalmucy z korpusu kawalerii SS oberführera dr Dolla, którego poszczególne szwadrony penetrowały powiaty kielecki i konecki, usiłowali par-

rotnie zastępować drogę pułkom 2 Dywizji. Dochodziło do żartowych walk, zwłaszcza na trasie marszu 2 pułku, idącego w awangardzie zgrupowania. Szwadronom kalmuckich kawalerzystów, poruszającym się szybko na matach, zwinnym konikach, towarzyszyły otwarte wozy terenowe z ustawionymi na nich ciężkimi karabinami maszynowymi. Wozy jadą ostrożnie polnymi drogami koło Wodolu Rządowego, a po obu stronach drogi kłusuje długi sznur skośnoońskich jeźdźców pochylonych nisko nad końskimi karkami.

Wóz terenowy, który 17 sierpnia pod Wzdołem Rządowym wjechał nagle na batalion kapitana „Pochmurnego” z 2 pułku, wywołał początkowo popłoch w maszerującej na czele batalionu kompanii podporucznika „Redera”. Warkot niemieckiego cekaemu rzucił żołnierzy na ziemię, długie serie kul szarpały rosnące wzdłuż drogi sosny. Wóz zwolnił biegu, cekaemista wziął poprawkę i następne serie zaczęły podnosić całe fontanny ziemi i piasku wśród kryjących się między drzewami partyzantów.

Sytuację uratowała dopiero drużyna jakiegoś podchorążego, która poderwała się do przeciwnarciarza i z bardzo bliskiej odległości zaatakowała samochód granatami. Potężne eksplozje zrzuconych angielskich „gamonów” rozzerwały maskę wozu. Samochód stanął w płomieniach i spłonął tak szybko, że podchorąży i jego żołnierze ledwie zdążyli wyciągnąć z ognia ciężko rannego oficera Wehrmachtu.

2 pułk walczył ponownie przed świtem 18 sierpnia przechodząc pod Ostojowem szosę Kielce — Skarżysko. Z ciemności wynurzyło się kilka samochodów, które jadąc z przyświeconymi światłami zbliżyły się do partyzanckiej kolumny. Za samochodami nadciągała kawaleria, a gdzieś z boku zaczął strzelać cekaem. Teraz jednak nie udało się Niemcom zaskoczyć 2 pułku.

Plutony „Jedrusiów”, znane z odwagi i agresywnego ducha, od razu zaatakowały zbliżające się samochody z Niemcami. Głuchy łomot wystrzałów z angielskich rusznicy przeciwpancernych, tzw. „piatów”, przyduł na chwilę wszystkie inne odgłosy. Później spory kawałek szosy nagle oświetliło jaskrawe światło płonącego samochodu, który został trafiony pociskiem z rusznicy; zaczęła wybuchać amunicja. Plutony podporuczników „Dika” i „Boha”, wykonawszy szeroki łuk, zaatakowały z flanku Kalmucków. Kawaleria Dolla nie przyjęła bitwy i odsunęła się poza zasięg partyzanckiego ognia. Odparły atak samochodów i zepchnąwszy Kalmucków, 2 pułk przeszedł szosę Kielce — Skarżysko posuwając się wytrwale ku Pilicy.

Maraz 2 Dywizji trwa nadal w upalnych promieniach słońca, kłębach kurzu, przez wieś, gdzie spragnione, spoczone bataliony wypijają prawie do dna wodę z płytyk studzien. Coraz więcej żołnierzy ma nogi odparzone i starte do krwi, niektórzy ze zmęczenia po prostu zaczynają odpadać... Ale mi-

mo to 2 Dywizja wciąż maszeruje naprzód, chce przejść Pilicę i dojść do Warszawy.

21 sierpnia w rejonie Nieklań — Chlewiska 2 Dywizja osiągnęła pierwszy wyznaczony teren koncentracji. Wszystkie trzy pułki piechoty, sztab, służby dywizyjne, zwład konny rotmistrza „Poboga” stają na biwakach. Trzeba odpocząć przed następnym skokiem, którego celem są brzegi Pilicy. Zanim jednak żołnierze dywizji zdolali na dobre zakosztować zastużonego odpoczynku postawiły ich na nogi odgłosy gwałtownej strzelaniny dochodzącej od strony wsi Antoniów położonej między Nieklaniem i Chlewiskami. Tam właśnie rozkwaterowały się bataliony 4 pułku majora „Wyrwy”, dość dobrze znoszące na ogół trudy długiego marszu.

li wieś. Widząc że hitlerowski dowódca dał rozkaz do odwrotu. Nieprzyjaciel cofał się z Antoniówa ostrzelany zmasowanym ogniem partyzanckiej broni, a w pośpiechu z nim ruszyła nawet część Wybranieckich pod dowództwem podporucznika „Wiernego” (Edwarda Skroboty). Nieco później jedna z kompanii 4 pułku urządziła niedaleko od Antoniówa udaną zasadkę na kolumnę niemieckich samochodów, które zdążyły ku miejscu niedawnej bitwy. Zniszczono sześć samochodów i zabito kilkudziesięciu Niemców.

Bitwa pod Antoniówem i Wolą Zagrodną przyniosła żołnierzom 4 pułku piękny sukces. Przy minimalnych stratach własnych zabito ponad dwustu hitlerowców i zniszczono 21 samochodów. Bardzo pokaźna była zdobycz w broni, amunicji i różnym sprzęcie wojennym.

Pułkownik „Ein” przyjął jednak z wielkim niezadowoleniem meldunek majora „Wyrwy” o bitwie pod Antoniówem. Jego zdaniem zostało tym samym zdekonspirowane miejsce koncentracji 2 Dywizji. Zientarski nie brał pod uwagę tego, że sprawnie działająca w terenie agentura niemiecka i tak miała dokładnie wiadomości o ruchach 2 DP, gdyż przemarszów dużego zgrupowania nie można było ukryć przed oczyma wroga nawet w lesistej Kielecczyźnie. Niechęć do partyzanckich metod walki odbierała pułkownikowi zdolność obiektywnego oceniania sytuacji.

Po antoniowskiej bitwie 2 Dywizja maszerowała dalej w kierunku Pilicy i 22 sierpnia znalazła się w lasach na południowy zachód od Przysuchy. Tu też nadciągnęła z rejonu Częstochowy — Radomska 7 Dywizja Piechoty AK pod dowództwem pułkownika „Czesława-Rudolfa” (Gwidona Kawinśkiego) i przysunął się z lasów spalskich 25 pułk piechoty AK majora „Lesnika” (Romana Majewskiego), który, chociaż należał do Okręgu Łódzkiego, został na czas odsiedlony dla Warszawy podporządkowany pułkownikowi „Einowi”.

Ku Pilicy ruszyły patrole wysłane przez dowódców poszczególnych dywizji AK. Miały one za zadanie odnaleźć brody przez rzekę i równocześnie zbadać w jakim stopniu Niemcy je obsadzili i ufortyfikowali. Patrole po powrocie zameldowały, że wprowadzi-

li wieś. Widząc że hitlerowski dowódca dał rozkaz do odwrotu. Nieprzyjaciel cofał się z Antoniówa ostrzelany zmasowanym ogniem partyzanckiej broni, a w pośpiechu z nim ruszyła nawet część Wybranieckich pod dowództwem podporucznika „Wiernego” (Edwarda Skroboty). Nieco później jedna z kompanii 4 pułku urządziła niedaleko od Antoniówa udaną zasadkę na kolumnę niemieckich samochodów, które zdążyły ku miejscu niedawnej bitwy. Zniszczono sześć samochodów i zabito kilkudziesięciu Niemców.

Bitwa pod Antoniówem i Wolą Zagrodną przyniosła żołnierzom 4 pułku piękny sukces. Przy minimalnych stratach własnych zabito ponad dwustu hitlerowców i zniszczono 21 samochodów. Bardzo pokaźna była zdobycz w broni, amunicji i różnym sprzęcie wojennym.

Pułkownik „Ein” przyjął jednak z wielkim niezadowoleniem meldunek majora „Wyrwy” o bitwie pod Antoniówem. Jego zdaniem zostało tym samym zdekonspirowane miejsce koncentracji 2 Dywizji. Zientarski nie brał pod uwagę tego, że sprawnie działająca w terenie agentura niemiecka i tak miała dokładnie wiadomości o ruchach 2 DP, gdyż przemarszów dużego zgrupowania nie można było ukryć przed oczyma wroga nawet w lesistej Kielecczyźnie. Niechęć do partyzanckich metod walki odbierała pułkownikowi zdolność obiektywnego oceniania sytuacji.

Po antoniowskiej bitwie 2 Dywizja maszerowała dalej w kierunku Pilicy i 22 sierpnia znalazła się w lasach na południowy zachód od Przysuchy. Tu też nadciągnęła z rejonu Częstochowy — Radomska 7 Dywizja Piechoty AK pod dowództwem pułkownika „Czesława-Rudolfa” (Gwidona Kawinśkiego) i przysunął się z lasów spalskich 25 pułk piechoty AK majora „Lesnika” (Romana Majewskiego), który, chociaż należał do Okręgu Łódzkiego, został na czas odsiedlony dla Warszawy podporządkowany pułkownikowi „Einowi”.

Ku Pilicy ruszyły patrole wysłane przez dowódców poszczególnych dywizji AK. Miały one za zadanie odnaleźć brody przez rzekę i równocześnie zbadać w jakim stopniu Niemcy je obsadzili i ufortyfikowali. Patrole po powrocie zameldowały, że wprowadzi-

li wieś. Widząc że hitlerowski dowódca dał rozkaz do odwrotu. Nieprzyjaciel cofał się z Antoniówa ostrzelany zmasowanym ogniem partyzanckiej broni, a w pośpiechu z nim ruszyła nawet część Wybranieckich pod dowództwem podporucznika „Wiernego” (Edwarda Skroboty). Nieco później jedna z kompanii 4 pułku urządziła niedaleko od Antoniówa udaną zasadkę na kolumnę niemieckich samochodów, które zdążyły ku miejscu niedawnej bitwy. Zniszczono sześć samochodów i zabito kilkudziesięciu Niemców.

*) W skład Kieleckiego Korpusu AK wchodziła ponadto 1 DP (1200 żołnierzy) i 72 pp (około 400 żołnierzy).

**) Drugi pseudonim „Mieczysław”.

W ROSLAŃSKIM więzieniu, spalonym przez Niemców wraz z więźniami, na ścianach cel można jeszcze odczytać krótkie napisy zamordowanych ludzi. „17 sierpnia — dzień moich imienia. Siedzę w pojedynczej, głodnej, 200 gramów chleba i 1 litr lary — cała bogata uczta. Siemionow”. Inny więzień dołączył do tego jeszcze jedno słowo, zawierające los Siemionowa: „Rozstrzelany”. W sąsiedniej celi aresztant zwracał się do swojej matki:

„Nie smuć się, mamę kochana, i nie rozpaczaj nade mną. Niedługo ty jeszcze pożyjesz na świecie okrutnym i ciemnym. Siedzę za kratą w wilgotnej celi w niewoli i poniewierce, ku tobie się myślę jak fale unoszą i łzami zalewa się serce”.

Nie napisał swojego nazwiska. Nie było mu już potrzebne, bo rozstawał się z życiem i odchodził od nas w wieczne zapomnienie. W kącie tejże celi zachował się napis, wydrapany chyba paznokciem: „Tu siedział Złow”. Była to najprostsza i najskromniejsza spowiedź człowieka; żył na świecie i męczył się niejaki Złow, potem został rozstrzelany na podwórzu roslawiańskiego więzienia, trupa zaś obano benzyną i spalono, żeby nic nie pozostało z człowieka oprócz garści wapiennego popiołu z jego kości, który bez śladu zmieszają z ziemią i zglinie w beziemnym prochu.

Obok podpisu Złowa skreślone były słowa nieznanego Róży: „Chcę żyć dalej! Życie — to raj, ale ja nie mogę żyć, muszę umrzeć. Jestem Róża”.

Była to Róża. Jej imię zostało wryte ostrzem szpilki lub paznokciem na granatowej powierzchni ściany; od starości i wilgoci na tynku pojawiły się kontury tajemniczych ław i mór — mglistych krańców, do których biegły myślami aresztanci, wpatrujący się w mroczne ściany więzienia.

Kim była więźniarka Róża i co dzieje się z nią teraz — czy tu, na podwórku więziennym, upadła bez tchu, czy też łaskawy los pozwolił jej żyć na wolnej ziemi rosyjskiej? Róża znów jest wśród nas — w tym raju życia, jak je nazywała sama? Kim był Złow? Nie powiedział o sobie nic, tylko zamaczył na ścianie więziennych, że żył na świecie taki człowiek.

Śladów istnienia Złowa nie mogliśmy odszukać, ale losy Róży pozostały w pamięci nielicznych ocalałych od śmierci ludzi. Więźniowie, których prowadzono na podwórko na rozstrzelanie, pocieszała się wspomnieniem o Róży. Róża była już kiedyś rozstrzelana, upadła na ziemię, ale pozostała przy życiu, przykryto ją ciałami innych ofiar, potem obłożono trupy słomą, obano benzyną i oddano umarłym płomieniom. Róża nie umarła, dwie kule tylko lekko zadrasnęły skórę na jej ciele; osłonięta trupami, nie splonęła w ogień, uratowała się i przyszła do siebie. A w ciemną nocną godzinę wydołała się spod umarłych i wyszła na wolność poprzez szkatki muru więziennego, zburzonego przez bomby.

Ale w dzień Różę znów zabrali w mieście Niemcy i odprowadzili do więzienia. I znów zaczęła żyć w zamknięciu, oczekując po raz drugi śmierci.

Kto widział Różę, mówił, że była przystojna i tak ładna, jakby specjalnie wymyślił ją sobie zropanca, smutni ludzie na swoją radość i pociechę. Róża miała cienkie, wijące się włosy ciemnej barwy i duże, dziecięce, szare oczy, rozświetlone od wewnątrz przez naiwną duszę, a twarz jej była miła, obrzmiała od więzienia i głodu, ale delikatna i czysta. Sama Róża była niewysoka, ale mocna jak chłopiec i zreżna w robocie; umiała szyc sukienki i dawniej pracowała jako elektromonter, ale teraz nie miała nic do roboty, jak tylko znosić swoje nieszczęście; skończyła dziewiętnaście lat i nie wyglądała na wtece, ponieważ umiała przezwyciężyć swoje cierpienie i nie dawała się przez nie kaleczyć i postarzać. Chciała żyć.

Po raz drugi oczekiwała Róża śmierci w więzieniu roslawiańskim, ale nie oczekiwała się jej. Niemcy pozostawili Różę przy życiu. Niemcy zrozumieli, że jeśli się raz zabije człowieka, to nie już więcej nim nie można zrobić i panować nad nim nie można, a życie bez panowania jest dla Niemca przykre i nieciekawe; trzeba mu, żeby człowiek żył pod jego władzą, ale tylko połowa życia — żeby rozum człowieka zamienił się w głupotę, a serce żeby było nie z radości, lecz ze strachu — ze strachu przed śmiercią.

Różę wezwano na przesłuchanie do oficera śledczego. Śledczy był niewinny, że wie ona wszystko o mieście Rosławiu i o życiu w Rosji, jakby Róża była cała władza radziecka. Róża wszystkiego nie wiedziała, a tego, co wiedziała, nie mogła powiedzieć. Pila u oficera piwo monachijskie, ladła podgrzewane parówki i wkładała nowa sukienkę. Tak nazywał śledczy swój poczęstunek w rozmowie z pomocnikami, których więźniowie ochrzczili „mistrzami tamtego świata”. Dla Róży przynoszono butelkę od piwa, napełnioną piaskiem i bito ją tą butelką po piersi i brzuchu, aby umarło w niej na zawsze jej przyszłe macierzyństwo; potem chłostano ją gietkami żelaznymi pretami, spalającymi ciało do kości, a kiedy traciła oddech i świadomość jej gasła, wówczas na Różę „wkładano nowa sukienkę”; owijano ją ciasno twardym czarnym drutem elektrycznym, zatopiwszy go w mięśniach i mie-

Hans poszedł i wrócił. Zameldował, że Róża oddycha, śpi i uśmiecha się we śnie, oraz zdzielił swoje zdanie: — A śmiać się nie powinna! Śledczy zgodził się, że śmiać się nie powinna, żyć również nie ma prawa, ale zabijać jej nie należy, będzie to bowiem ubytek w żywej roboczej sile i niedostateczny wzór dla pozostałej ludności. Śledczy uważał, że powinno się z Róży uczynić wieczny żywy przykład dla zastraszenia ludności, obrząz strasznej męki dla wszystkich niewiernych, umarli zaś nie mogą pełnić takiej politycznej służby, bowiem wywołują jedynie współczucie żywych i skłaniają ich do odwagi. — Trzeba jej zostawić pół życia! — powiedział Szybki Hans. — Zrobic z niej półgłowa... — Co to znaczy półgłowa? — spytał śledczy.

Róża weszła do obcego domu. Była tam w pokoju stara kobieta, modląca się przed ikoną Matki Boskiej. — Gdzie jest Róża? — spytała Róża, pragnąc bowiem niejako uirzec siebie sama żywą i zdrową, nie pamiętając kim jest obecnie. — Co znówu za Róża? — spytała ze złością stara gospodyni. — Tu była Róża — z bezradną powtarza Róża. Stara spojrziała na przybyłą. — Była, a teraz jej widać nie ma... Spytaj Niemców o swoją Różę. Oni wszystkich ludzi wpisują do swego rachunku, żeby mniej ich zostało... — Jesteś zła, niedobra starucha! — rozumnie powiedziała Róża. — Róża żyła, a potem poszła na pole i już niedługo wróci... Stara przyjrzała się obdarłej dziewczynie i poprosiła ją. — Siadź no sobie, posiedz ze mną, córuchno! Róża została bez sprzeciwu; stara podeszła do niej i pomacała ubranie na Różę. — Ech ty, żebraczyno — powiedziała i rozplakała się, miała bowiem inne, własne nieszczęście, o którym Róża jej przypominała. Stara rozebrała Różę, zmyła z niej więzienny brud i opatrzyła rany, a potem odziała ją jak pannę młodą w swoją starą danijską sukienkę, włożyła na nogi lekkie pantofelki na obcasach i nakarmiła, czym mogła. Róża z niczego się nie ucieszyła i pod wieczór odeszła z domu dobrej kobiety. Pragnęła wyjść z miasta Rosławia, ale nie mogła znaleźć jego kresu i bezrozumnie bładła po ulicach. Nocą patrol odprawdził Różę do komendantury. W komendanturze sprawdzono, kim jest Róża i nazajutrz wypuszczono ją, odebrawszy nową sukienkę i strojne pantofelki; w zamian za nie otrzymała łachmany, zdjęte z innej więźniarki. Kto odział i obuł Różę, komendantura nie mogła się dowiedzieć — Róża nie umiała dać odpowiedzi.

DZIEWCZYNA - RÓŻA

ANDRZEJ PLATONOW

Burzliwe porewolucyjne lata kształtowania się nowego państwa rosyjskiego przyniosły znaczne owoce również dla kultury. Rozkwitła, i dokonała przełomu w nauce o literaturze, działalność badawcza „szkoły formalistów” (m. in. Szklowski, Tynianow, Eichenbaum). Powstają monumentalne dzieła filmowe Eisensteina, dziś już klasyka światowego kina. Debiutują lub wzmagają artystyczne wysiłki tacy pisarze, jak Babel, Erenburg, Pasternak, Paustowski, Blok, Majakowski, Jesienin i wielu innych, również znakomitych. Do tego pokolenia „burzy i naporu” zalicza się także, szerzej u nas nie znany pisarz, Andrej Platonow (1899—1951). Twarde koleje żywotowe — samok, czynny uczestnik wojny domowej — nie osłabiły jego literackich zainteresowań. Debiutował tomikiem poetyckim „Golubia głubina” w r. 1922. Trwałszy ślad w literaturze radzieckiej pozostawił jednak jako wybitnie utalentowany prozownik, nie cofający się przed żadnymi prawdami o człowieku; prawdom tym umiał Platonow nadać syntetyczny, metaforyzowany kształt, nie naruszając przy tym rygorów pisarstwa na wskroś realistycznego. Wydał m. in. tomy prozatorskie: „Jepifanskie szlury” (1927), „Proischożdenije mastiera” (1929), „Rieka Potudań” (1937). W późniejszym okresie „kultu jednostki” twórczość jego była przemilczana, zakazano też wydać „Lata walki z faszystwem przeżył jako korespondent wojenny, zapoznał się wtedy z okrucieństwem „czasów opardy”, czego refleks jest publikowany tutaj tekst. Obecnie twórczość jego znalazła w Związku Radzieckim należne jej uznanie i miejsce w historii literatury. W Polsce wydano kilka nowel Platonowa jako „Utwory wybrane” (1965).

dzy żebrami tak, że krew i zimny śmiertelny pot występowały z jej ciała; potem Różę odnieszono z powrotem do pojedynki i kładziono na betonowej podłodze; wszyscy byli już nią zmęczeni — i śledczy i „mistrzowie tamtego świata”.

Co Niemcy mieli począć? Żywa rosyjska dziewczyna nie poddawała im się; można było ją natychmiast zabić, ale panowanie nad umarłymi jest absurdem.

Swoim życiem, równie jak śmiercią, ta rosyjska Róża podważała i podawała w wątpliwość cały sens wojny, władzy, panowania i „nowej organizacji” ludzkości. Takich praktyk nie wolno tolerować — czyż na próżno społeczeństwo w ziemi prochy niemieckich żołnierzy?

Niemiecki oficer śledczy zamysłił się w roslawiańskim więzieniu. Nad kim będzie można panować, jeśli naród niemiecki pozostanie samotny na wielkim cmentarzu pozostałych narodów?

Śledczy stracił swój dobry, rzeczowy nastrój i zawałował do siebie „Szybkiego Hansa”, przezwanego „Szybkim” za błyskawiczne wykonywanie rozkazów. Johann Focht kiedyś długo mieszkał w Związku Radzieckim i dobrze znał język rosyjski. Śledczy najpierw kazał szybkemu Hansowi przynieść wódkę, a potem zapytał go: — Co należy zrobić by człowiek przestał żyć, lecz żeby nie umarł.

— Złecinna sprawa! — natychmiast zrozumiał i odpowiedział Hans.

Śledczy wypił, odzyskał dobry nastrój i poleciał Hansowi iść do celi, by sprawdzić, czy Róża żyje jeszcze, czy umarła.

— W ciemnie — pokazał sobie na głowę Hans. — Nacisnę jej na ciemnie, a w drugiej ręce będę miał narzędzie.

— Róża umrze — powiedział śledczy.

— Wyżyje — z przekonaniem rzekł Szybki Hans. — Mam dobrą rękę, nie dopuszczę jej do śmierci.

„Będzie z niego mały führer” — pomyślał śledczy o Hansie i nakazał mu działać.

Następnego dnia Różę wypuszczono z więzienia. Wyszła stamtąd w starej sukience, podartej jeszcze przed pierwszych przesłuchaniach i boso, bo pantofle jej zginęły w więziennym magazynie. Była już jesień, ale Róża nie odczuwała jesiennej chłodnej pogody; szła po Rosławiu z nieśmiałym, szczęśliwym uśmiechem na pięknie otwartej twarzy, ale spojrzenie jej było zmęczone i obojętne, a oczy sennie spoglądały na świat. Róża widziała teraz wszystko jasno, jak dawniej — widziała ziemię, domy i ludzi, nie rozumiała tylko ich znaczenia i serce jej ścisnęło nieustanny lęk przed każdym nowym zjawiskiem.

Czasem Różę wydawało się, że ogląda długie sen; w słabym niewyraźnym wspomnieniu widziała inny świat, gdzie wszystko było zrozumiałe i nie budziło przerażenia. Zaś teraz, ze strachu, uśmiechała się do wszystkich ludzi i przedmiotów, dręczona przez swój oniemiały umysł. Zaprzęgała się obudzić — zrobiła gwałtowny ruch i pobiegła, ale sen biegł razem z nią i skostniały jej rozum nie obudził się.

— W ciemnie — pokazał sobie na głowę Hans. — Nacisnę jej na ciemnie, a w drugiej ręce będę miał narzędzie.

— Róża umrze — powiedział śledczy.

— Wyżyje — z przekonaniem rzekł Szybki Hans. — Mam dobrą rękę, nie dopuszczę jej do śmierci.

„Będzie z niego mały führer” — pomyślał śledczy o Hansie i nakazał mu działać.

Następnego dnia Różę wypuszczono z więzienia. Wyszła stamtąd w starej sukience, podartej jeszcze przed pierwszych przesłuchaniach i boso, bo pantofle jej zginęły w więziennym magazynie. Była już jesień, ale Róża nie odczuwała jesiennej chłodnej pogody; szła po Rosławiu z nieśmiałym, szczęśliwym uśmiechem na pięknie otwartej twarzy, ale spojrzenie jej było zmęczone i obojętne, a oczy sennie spoglądały na świat. Róża widziała teraz wszystko jasno, jak dawniej — widziała ziemię, domy i ludzi, nie rozumiała tylko ich znaczenia i serce jej ścisnęło nieustanny lęk przed każdym nowym zjawiskiem.

Czasem Różę wydawało się, że ogląda długie sen; w słabym niewyraźnym wspomnieniu widziała inny świat, gdzie wszystko było zrozumiałe i nie budziło przerażenia. Zaś teraz, ze strachu, uśmiechała się do wszystkich ludzi i przedmiotów, dręczona przez swój oniemiały umysł. Zaprzęgała się obudzić — zrobiła gwałtowny ruch i pobiegła, ale sen biegł razem z nią i skostniały jej rozum nie obudził się.

Czasem Różę wydawało się, że ogląda długie sen; w słabym niewyraźnym wspomnieniu widziała inny świat, gdzie wszystko było zrozumiałe i nie budziło przerażenia. Zaś teraz, ze strachu, uśmiechała się do wszystkich ludzi i przedmiotów, dręczona przez swój oniemiały umysł. Zaprzęgała się obudzić — zrobiła gwałtowny ruch i pobiegła, ale sen biegł razem z nią i skostniały jej rozum nie obudził się.

Czasem Różę wydawało się, że ogląda długie sen; w słabym niewyraźnym wspomnieniu widziała inny świat, gdzie wszystko było zrozumiałe i nie budziło przerażenia. Zaś teraz, ze strachu, uśmiechała się do wszystkich ludzi i przedmiotów, dręczona przez swój oniemiały umysł. Zaprzęgała się obudzić — zrobiła gwałtowny ruch i pobiegła, ale sen biegł razem z nią i skostniały jej rozum nie obudził się.

Czasem Różę wydawało się, że ogląda długie sen; w słabym niewyraźnym wspomnieniu widziała inny świat, gdzie wszystko było zrozumiałe i nie budziło przerażenia. Zaś teraz, ze strachu, uśmiechała się do wszystkich ludzi i przedmiotów, dręczona przez swój oniemiały umysł. Zaprzęgała się obudzić — zrobiła gwałtowny ruch i pobiegła, ale sen biegł razem z nią i skostniały jej rozum nie obudził się.

szuka winnych

EDWARD REDLIŃSKI

z gęby cholewe. Do dziś pracujemy gołymi rękami. — Może zakładu nie stać na renowację? Taka rzecz kosztuje... zastanawiam się głośno. — Nie stać... Mówię raz zastępcę dyrektora: „Dziś rano wyrzucili na śmietnik dwadzieścia tysięcy złotych”. Zastępca jak nie podkończy: „Nie może być — powiada — dwadzieścia tysięcy?”. Tłumaczę mu jak dziecku, że surowca (zaszyfrujemy go literą „z”) znówu nie sprzedaliśmy, pójdzie na przykład po 70 groszy. Na każdym kilogramie stracimy po 3 złote. Szesć tysięcy kilogramów po trzy złote... Słyszycie to zastępca z ulga macha ręką. „E tam, myślałem, że coś poważniejszego...”

— Mam trzy wagi, a wagowych dwóch. Latają w kółko od wagi do wagi. Żeby obsłużyć trzecią zmianę, zostają po godzinach. Piaci się im wtedy podwójnie. Godziny ponadobowiązkowe kosztują w sumie więcej, niż trzech pracowników. Ale trzeciego pracownika nie angażujemy. Dlaczego? — nikt nie wie. — Może brak chętnych do pracy? — pytam bez przekonania. Szwagier spogląda na mnie jak na cudzoziemca. — Organizacja pracy — mówię — Jaki pan, taki kram. Szwagier zastanawia się. — To druga strona medalu — przyznaje. — U nas w zakładzie robotnicy specjalnie się nie wysilają.

„Dobrze, że w ogóle za taką forszę robimy” — mówią przy papierosku. Niby racja. Ale raczej można odwrócić. Można odpowiedzieć: I tak duża forsz jak za taka robota. Właśnie, jak to jest: praca za pieniądze, czy pieniądze za pracę? Co najpierw: praca czy pieniądze? Tak samo, weźmy, każdy narzeka na pracę innych instytucji. Znaczą się, ja kłnę na kogoś, a ktoś kłnie na mnie. Szwagier uśmiecha się smętnie nad szczykiem. — Wchodzę ja do hall, godzina dziesiąta, pała się jarzeniówki. Ludzie wchodzą, wychodzą i nic. A kontakt przy drzwiach. Peunie, że zgasiłem. Przechodził majster. „Ty uważaj — pokpiwa — uważaj, bo cie awansują za gospodarność” — i prycha śmiechem. Ktoś przusza ramionami. To jeszcze nie. Pracujemy w fartuchach. Kolega ze zmianą nie lubi skarpet. Nosi onuce. Gdy mu się pobrudzą, to ciach pole z fartucha, na nowo onuce. Nikt nie kontroluje, fartychy po pracy rzuca się na stos, idą do pralni. Raz przemilczalem jego barbarzyństwo, drugi raz, wreszcie mówię:

„Człowieku, ty w Boga wierzysz?” — „A bo có?” „Gdzie ty masz rozum?” A ten wandal poprawia onucę i nic. Zamataje go w gębę, czy co, myślę, jak tu inaczej do chama przemówić? A on zasnurował kamusze, przytupnął sobie i niesie stare szmaty do kubła. Ledwie wrzucił, zjawia się kierownik. A tamten podchodzi do mnie i drwi: „No, powiesz kierownikowi, co wiesz, może cie za to awansują. Czemu nie mówisz, apostoł?”

Tu szwagier przerwał opowiadanie i wychylił dwa kieliszki jeden po drugim. Oczyszczył soczku. — Te historie z ładunkiem i rozładunkiem powtarzają się nieraz, zostajemy po godzinach nawet i do drugiej w nocy. Wracać trzeba na pedałach, bo autobusy o tej porze nie kursują. Wkurzyliśmy się wreszcie takim balaganem. Nie ma co, robimy drakę, idziemy do zastępcy. Jeden z nas, Lewicki, mówi, co i jak. A zastępca zaraz do niego: „Ej wy, Lewicki, a wy co tak w krawcówki przy transportie? No, no, Elegancik... Wtedy ja na to: „Co kto lubi, panie dyrektorze, tu krawat nie ma nie do rzeczy”. Zastępca stopił się, poprawił sobie kołnierzyk — a prawdziwe mówiąc był nie bardzo doprasowany — zakreślił się koło biurka i powiada: „No dobrze, to chodźmy do magazynu”. Przechodzimy, zastępca wskazuje palcem rozsypaną z i mówi: „A to co?” Potem wskazuje palcem na rozwaloną skrzynię, potem na gądkarty fartuch, potem pyta, gdzie Wójcik. (Wójcik urwał się wcześniej ze względu na chrząknięcie). Stoimy, jak zamurowani, ani słowa. Nie ma co, zamknął nam gęby. Popatrzyli, popatrzyli i poszedł. — No i co, poprawiło się z tymi wezwaniami? — pytam. — Akurat. Po staremu balagan. — No a w waszym magazynie? — Też... Zamilkliśmy obydwaj. Szwagier rozsiadł ostatki. Co tu powieścić? Nacisnąłem włącznik telewizora. Spiewał Łazuka. Ależ komik z tego Łazuki, niech go kule biją!

Trybunał w życiu dawnego Lublina

WOJCIECH JERZY PODGORSKI

WSZLACHECKIEJ Rzeczypospolitej o wysokiej randze miasta mogły decydować przede wszystkim okazje do częstych zjazdów obywatelskich. Warszawa miała swoje sejmy. Dzięki jednemu z nich podobne wyróżnienie spotkało Lublin; tak o tym mówi w „Kronice światła” spadkobierca kronikarskiej tradycji po Marcinie Bielskim — jego syn Joachim:

„(Anno 1579:) (...) Roku przeszłego w lutym sejm w Warszawie odprawował (sic) (...). Tamże Tribunal naprzód w Wielkiej Polsce w Piotrkowie, a (potem) w Malej w Lublinie postanowiony; ale go ledwo otrzymali posłowie, iż niektórzy senatorowie bronili (czytaj: zabraniali), a duchowni też szlachty się balk...”

Stalo się jednak i od tej chwili środowisko ludzi „prawnych” — jak nazywano ich wtedy — związanych bezpośrednio czy pośrednio z Trybunałem Koronnym będzie nadawać ton życiu lubelskiego mieszczaństwa. Co więcej: krystalizowana na gorąco, w atmosferze sesji trybunalskich i trybunalskich uciek, specyficzna kultura dnia powszedniego promieniować będzie odtąd — za pośrednictwem słowa mówionego i pisanego — daleko poza granice lubelskich rogatek. Trybunał przyniesie ze sobą cały szereg administracyjnych przepisów i towarzyszących zwyczajów, kolekcję powtarzanych co roku „obrzędów” — ten zewnętrzny porządek, blichtr, z którego sprawa rola i krzepła doświadczenia trybunalskich meków, nawet wówczas, gdy nie mogli jej sprostać swym postępowaniem. Narodzi się lubelska literatura okolicznościowa, zresztą podchwytująca wloty i upadki lubelskiej sprawiedliwości, czasem panegiryczna, częściej satyryczna — a więc sprawiedliwa, „katolicka bardziej niż sam papież”, gdy Trybunał brał rozwód z Temida...

„Reasumpcyje”, czyli otwarcie sejsji, kwitował jednak zawsze odpowiednio uroczysty panegiryk:

„LAUS IUDICIS SEV(ERI)
DEPUTATI TRIBUNALIS
A IUSTITIA ET DEXTERITATE
CUM NOMINE TRIBUNA LITIAE
POTESTATIS”

Pozwól to sądowe wnieść Areopagi;
Jak wielkie dzieła i sprawy wyliczaj;
Abyć najczulsze data Temis waży —
Tak same stale Trybunały żyją,
Twojej tęskliwie czekają powagi.
Jakoż i Nieba tej woli nie przeczą;
Zdola bark męzny, Niebo zaś

Pod którym folgi przyszło
drugim prosić.

Rzadko nie czuła sprawiedliwość
plagi

Osuta zewsząd talery bitemi;
Stepione miecze, polamane waży
Pod kzesłem leżą lada gdzie

Gdy złote na sąd fala spływa Tań.
Ale pod twojej rządami słusznymi
Jurysdykcji — niewinność podniosła
Głowy, którą już w ziemię
była uniosła.”

Reasumpcyja — inauguracja Trybunału — przypadała na poniedziałek po Niedzieli Przewodniej,

to jest w tydzień po Wielkiej Nocy, wspaniałością uroczystej defilady, dostojnością zjeżdżających person dodawała splendoru trybunalskiemu grodowi, odświeżonemu i starannie uprzątniętemu na tę uroczystość. Reasumpcyja lubelska przepychem i liczbą uczestników znacznie górowała nad reasumpcyją piotrkowską. Wytłumaczenie powyższego znajdziemy w „Opisie o-bpęczajów za panowania Augusta III” Jędrzeja Kitowicza:

„Na reasumpcyją bowiem Trybunału (w Piotrkowie), gdzie trzeba było często nadstawić skóry, nie przybywali sami pryncypalowie, tylko ich subalterni (plenipotenci). Tu zaś (do Lublina) — iż już były rzeczy spokojne — zjeżdżali na asystencyją marszałkowskim wjazdom najwięksi panowie: Potoccy, Lubomirscy, Czartoryscy, Rzewuscy, Tarlowie, Zamoyscy, Poniatowscy i inni ruscy majętni obywatele, oprócz hetmanów wielkich, którzy dla takowych festynów swojej powagi nie szarżali”. (s. 223).

Dzień wcześniej gromadzono się w najbliższym sąsiedztwie Lublina, zgodnie z wyborem marszałka Trybunału, który zazwyczaj odwiedzał jakiś dom przyjacielski, wieczerał tam i nocował, aby nazajutrz rano wyruszyć na czele ichnościów in-stygatorów, sędziów, delatorów królewskich, deputatów wojewódzkich i licznych „klientów” (jak zwano strony w procesach) — ku ratuszowi lubelskiemu, siedzibie Świętej Sprawiedliwości. Była to najodpowiedniejsza pora na poetycką przestroję:

„Sądzenia spraw najwyższa oddana
jest władza
Tym to, u których wszystko
na tym się zasadza,
By tylko kaprysowi dogodzić
swojemu —
Choćby wydrzeć fortunę
i honor drugiemu.
O, nieszczęśliwy kraju, co masz
sędziów takich,
Którzy są bez rozumu,
sumień lada jakich.
Wy, którzy rzady kraju macie
w swojej mocy,
Myślcie, by sprawiedliwość
nie czuła przemocy;
Na tym wszystka pomysłność
krajowa zależy,
Zeby każdy miał swoje, co mu się
należy.”

Niech zatem odtąd będą takowi
sędziowie,
Co mają świętość w sercu,
dobry rozum w głowie.”

Tymczasem na lubelskim ratuszu marszałek Trybunału „zasiadłszy z deputatami bez żadnych komplementów powitania” przyzwolił laskawie ze swego piedestału, aby „ziemstwo lubelskie, jako straż ksiąg i aktów trybunalskich, zapisało reasumpcyją (...) — i jeden z sędziów tychże, pospolicie pisarz, jako młodszemu w rzędzie ziemstwa, przeczytał głośno akt zapisany”. (J. Kitowicz, op. cit., s. 223). Zwykłą koleją rzeczy po tak obliczeniowym zagajeniu odwoływano sesję do dnia następnego, sędziowie rozstali się przy suto zastawionych stołach gdzie kielichy krażyły gęsto. Dla znaczących gości przwiecicie wydawał sam marszałek Trybuna-

łu. Pospolitsi musieli zadowolić się karczmą. Powiada o pewnym prokuratorze anonimowy poeta, że...

„Skoro po obiedzie — to szukał
pogody,
Gdzie by się dobrze napił
a bez swojej szkody.
A jak mu się podala jaka okazja,
To zlewał, to wytrząsał —
pomagałem i ja.
Jedno to więc u niego
za najgorze było,
Ze jak mu się w lew wino
już dobrze wrażyło
To krzykał, upiwszy się,
po ulicach w nocy —
Nos, gębę popodbił, ba,
i czasem ocy!”

Trudno zachwycić się takim „nocnym życiem” — z punktu widzenia mieszkańca lubelskiego grodu. Rzecz charakterystyczna, jak dalece powściągliwe było mieszczaństwo Lublina: obserwowujemy prawie całkowitą separację między światem trybunalskich dygnitarzy, deputatów szlacheckich, a urzędnikami grodzkimi, z obowiązków urzędowych li tylko stykającymi się z ludźmi prawa.

„Trafiło się też i to (...), podług humoru marszałków i wziętości burmistrzów — pisze Jędrzej Kitowicz — że i magistraty piotrkowski i lubelski składały Trybunałom swoje powinszowania. (...) (Jednak) nigdy mi się nie zdarzyło widzieć ani słyseć nawet, żeby który marszałek lub prezydent oratora miejskiego i jego kolegów wozwał na obiad. Stan miejski nigdy się tam nie cisnął, gdzie (szlachta) biesiadowała...” (op. cit., s. 224)

Separatyzm klasowy, zjawisko tak charakterystyczne dla szlacheckiej Rzeczypospolitej, bez względu na jego wielokrotne przeżycie zawsze tymi samymi akcentami satyrycznymi objawiał się w literaturze okolicznościowej, decydując o kierunku satyrycznego uderzenia. Świętym przykładem będzie „Definitio jurystów...”:

„Co to znaczy „Jurysta”,
ktoś opisał śmieie,
Dlatego że podobno spraw swych
miał niewiele.
Pisał, że są ubogich powietrzna
zarazą,
Rzeczy cudzych wzdiercą,
ludzkiej sławy zmasą,
Sierot prawdy zgubić,
a życia ludzkiego
Mieszaniec i truciźna miasta
wzszaklano:
Cnoty w nim ani pyta, bo klameca
złotliwy —
Łazarz, szalibierz, zdzierca.
Iskaryion żwony:
Sprawiedliwość zamaci, kłamstwo
oswobodzi —
Sroga bestya — i złość by cukiem
osłodzi!”

A sesja jakby nigdy nie trwała nadal. Nazajutrz, po reasumpcyi uroczystej kolacja u marszałka, tenże dostojnik zasiadłszy z deputatami na ratuszu „kazał przywołać jaką sprawę, w której po zapisaniu komparcyi znowu do jutra sądy były odwołane”. Pora teraz na prezentację dramatis personae. Temu celowi służyły rozpowszechnione poetyckie „Portrety Trybunału Anno Domini...”, w których bezwzględni komentatorzy przeprowadzali kolejno drobiazgową wnikającą analizę prezidenta, marszałka, deputowanych duchownych i świeckich, rzadko kiedy bawiając się w ceregiele. Oto wyjęty z „Portretu Trybunału 1780 zaczętego a 1781 kończącego się” portrecik deputata lubelskiego o nieznanym nazwisku:

„Lubelski,
Impetliwy, choleryk, prędko się
zapali,
A przeto niejednego z kolegów
zażali (zrazi)
Sądzi dość sprawiedliwie —
„przyjaźń” czuje przeciw;
Obojętność — bo w sędziach rzadka
jest na świecie”

Powitawszy się wzajemnie uczestnicy sesji ogłaszali ordynację, czyli porządek sądów („które rejestra po których mają następować”) oraz różne postanowienia i zalecenia okolicznościowe — między innymi „przykazania” pod adresem gospodarzy w sprawie „wszelkich wygód do wikt (uczestników sesji) należących”. Teraz więc bez przeszkód mogły rozpocząć się prawdziwe sądy trybunalskie. Prognozy były zawsze jednakże:

„Kto nie wie, jakim w Polsce
prawo idzie torem?
Panom z wszelką łatwością,
ubogim z uporem.”

Cytowane wiersze pochodzą ze zbiorów rękopiśmiennych Biblioteki im. Ossolińskich we Wrocławiu, Biblioteki im. Zielińskich w Plocku oraz Biblioteki im. E. Raczyńskiego w Poznaniu — i są po raz pierwszy ogłaszane drukiem.



Czas przechowany w zabytkach

Nagrobek STANISŁAWA ZBĄSKIEGO w Kurowie

HENRYK GAWARECKI

STARE, historyczne miasteczko Kurów leży na dawnym trakcie handlowym prowadzącym z Mazowsza na Ruś, w odległości 16 km od Puław i 33 od Lublina. Dziś jest tylko osadą, ale dawniej było miastem, a w XV w. nawet siedzibą powiatu, wchodzącego wówczas jeszcze w skład województwa sandomierskiego.

Z tych najdawniejszych lat nie się poza archiwalia do naszych czasów nie zachowało. Natomiast w miejscowym kościele parafialnym znajduje się interesujący zabytek rzeźby, nagrobek z okresu reformacji. Pomnik — już na pierwszy rzut oka — swą formą zewnętrzną odbija od skromnego wnętrza, ale przez dłuższy czas nie wzbudzał żywszego zainteresowania historyków sztuki.

Nagrobek umieszczony jest dzisiaj w prawej nawie bocznej kościoła, nie jest to jednak jego położenie pierwotne — wciśnięty w narożnik dwojga ścian stracił część pięknego zwieńczenia podczas przenosin.

Częściowo uszkodzony napis informuje, że „...i i zaszczepie urodzony Stanisław Zbąski z Kurowa lath XLV maaicz roku pańskiego MDLXXXV dnia ósmego lipca umarł. Bartosz Paprocki w Herbach rycerstwa polskiego wydanych w Krakowie w 1584 r. tak o nim pisze: Stanisław Zbąski, brat Abramów rodzony, był wieku mego pan u mądrość moży, wszakoz spokojny, żadnego urzędu ani dygnitarstwa nie pragnął. Ten dział wzięt u lubelskim województwie Kurów miasto i inne imiona przyległe.

Układ architektoniczny pomnika jest charakterystyczny dla ówczesnej renesansowej rzeźby nagrobnej: prostokątna nisza ujeta z boków parą odobnych pilastrów, ustawiona jest na masywnym cokole; nakrywa ją rozbudowane belkowanie zwieńczone bogato ukształtowanym szczytem. W niszy spoczywa, na wpół wsparty na poduszce, mężczyzna w sile wieku. Postać odziana w zbroję, leży ze zgłębionymi nogami w nienuaturalnym, dekoracyjnym układzie. Kształtna, o regularnych rysach twarzy głowa podgotona jest po staropolsku, wazy i krótka brodka charakteryzują stosunkowo młodego mężczyznę. Wznoszące się nad niszą belkowanie wypełnia prawie w całości kartusz o delikatnie zawiniętych brzegach. Wewnątrz kartusza położony został następujący piękny, wierszowany napis:

Anna z Karozi Zbąska
Ten ja dom Twemu ciału małżonku
jedyny,
Zbudowała dla żalu srogiemu przyczyni,
Abych tu, póki żywa na światy
grobie,
Smutek ofiarowała i try wieczne Tobie.
Nie dai Bóg abych długo z Tobą żywa
była

A spólnie lub ze szczęście lub dobre
znośia
Albo raczej niesięty Twą zaległa głowę,
Niz tak ostrocinia siebie widzieć wdowę.
Ale gdy tak sam Bóg chciał, by żalowa
Twoj
Smierć prędką, wielki smutek, wielka
żałość moja.
Da Pan Bóg Ci tam najdę kiedy Bóg
sowita
Uprzejmej cności hojne nagrodzę
jeż myśle
Smu:na małżonka ze łzami połotyła roku
pańskiego 1581.

W okresie, gdy zmarł Zbąski, kościół parafialny w Kurowie znajdował się w ręku różnowierców. Potwierdza to wizytacja biskupa archidiaconatu lubelskiego z 1693 r. w której czytamy, iż parafia kurowska — od lat około 24 — jest przez herezyków sprofanowana i zniszczona. Tym się też zapewne tłumaczy, iż wszystkie napisy na pomniku są w języku polskim, różnowiercy niechętnie używali bowiem łaciny, języka obozu katolickiego. Pomnik wykonano z białego kamienia wapiennego, wylamano zapewne w rejonie pobliskiego Kałuziowa nad Wisłą. Nagrobek połączony został szarą farbą olejną, która miejscami luszcy się i pokazuje ślady dawnej polichromii; widoczne są np. ślady złoconia zbroi.

Pomnik zdradza dużo dobrego warsztatu rzeźbiarskiego i choć nie zachowały się dokumenty o nazwisku artysty, który go tworzył, analiza stylowa nagrobka pozwala na wysunięcie pewnych przypuszczeń. Otóż około 1587 r. działał w pobliskim Janowie, wykonując zlecenia możnej rodziny Firlejów, architekt i rzeźbiarz Santi Gucci Fiorentino. Dla Andrzeja Firleja i jego żony Barbary Sreńskiekiej wyrzeźbił on podwójny nagrobek umieszczony w miejscowym kościele parafialnym. Twórczość Gucciego, klasycyznego przedstawiciela rzeźby manierystycznej, była przedmiotem studiów i analiz. Był on artystą bardzo płodnym; by sprostać zamówieniom prawnym w Pińczowie warsztat rzeźbiarski. W swej działalności artystycznej posługiwał się pewnymi ulubionymi schematami kompozycyjnymi oraz charakterystycznymi elementami dekoracyjnymi. Ornamenty te występują również na pomniku kurowskim.

Są to stylizowane formy wici roślinnych wyrastających z dżbanuszków, które wypełniają pola pilastrów, stylizowane rosety, charakterystycznie wykształcony kartusz herbowy, otoczony bogato rozwiniętymi labrami. Uderza również podobieństwo kompozycji, rodzaj zwieńczenia itp. Najwięcej wątpliwości może budzić sama postać Zbąskiego w jej ułożeniu i układzie widel pewną schematyzację i powtarzalność charakterystyczną dla warsztatu mistrza.

WŁODZIMIERZ ŚCISŁOWSKI

Fraszki

KONFRONTACJA

Ludu! Czas szturmować
do Bastylii bram!
Przyjrzałem się mówcy:
Ach, to klucznik sam!

JAJKO

Jajko mądrzejsze jest od kury —
zwłaszcza, gdy zniosą je u góry.

NIEŚCISŁOŚĆ

O szefie powiadasz,
że pusta to głowa?
Nie pusta! Przesada!
A woda sodowa?

SILA ZLEGO

Podał mu puchar goryczy
i jeszcze marzę dolczył.

Ze zbioru satyr pt. „W moim aluzjonie”, który ukazał się nakładem Wydawnictwa Poznańskiego w opracowaniu graficznym Zbigniewa Lengrena.

MINUTA MYSLIENIA

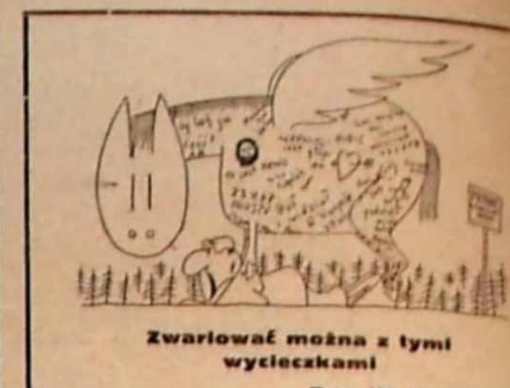
Homo + C2H5OH

MILISMY niedawno (24.VII.1987 r.) w telewizji antyalkoholowy reportaż z Nępi (pow. Bielski Podlaski)...

szarych kobiet, z których każda próbowała swój program „na nit” za pomocą argumentów... A także oddawał sprawę zwalczania alkoholizmu...

nia jakiegokolwiek poszukiwań... Al Capone, jeśli każde niewione...

Al Capone, jeśli każde niewione urządzone... Al i tym jest u nas jak z chuliganizmem...



POSTE-RESTANTE

Tytuł naszej rubryki Poste-Restante ma znaczenie...

BIG-BEAT

Głowy północy

ANIE Redaktorze! Widział Pan zapewne „Panoramę Północy” z 23 lipca br. a w niej panoramę „lubielskich głów”...

Wszyscy słowozęby, Eklez! Zapamiętajcie swoich kolegów... Ale dalej jest „Panorama”... Ale jademy dalej, nikt nie wolał...

Al Capone, jeśli każde niewione urządzone... Al i tym jest u nas jak z chuliganizmem...

Al Capone, jeśli każde niewione urządzone... Al i tym jest u nas jak z chuliganizmem...

ZASADNICZE PYTANIE

Któż to kobieta? To pytanie mecarne. Odpowiedź — podnóżek i stworzonko marne...

FELIETON Z REZERWY

Noc depeszowca

RANO zatrzymujemy się przy kioskach. Pudełko ulubionych papierosów, zapalki, no i gazeta. Nie zawsze był czas na wysłuchanie dziennika...

arrestowanych. „Kurier” przynosi zwykle więcej ciekawostek... Jest późno popołudnie. Idziemy wędzarsko do kina...

Al Capone, jeśli każde niewione urządzone... Al i tym jest u nas jak z chuliganizmem...

Al Capone, jeśli każde niewione urządzone... Al i tym jest u nas jak z chuliganizmem...

PRENUMERATA DO 10 WRZEŚNIA

Najpewniejszym sposobem terminowego otrzymania „Kamenu” jest prenumerata... „Ruch” — oddział w Lublinie...

NOTY i notki

W PEWNEJ INSTYTUCJI na oficjalnym piśmie pan magister popełnił błąd pisząc słowo kłódka przez „u”... „KIERUNKI” cytują słowa Hemingway’a...

arrestowanych. „Kurier” przynosi zwykle więcej ciekawostek... Jest późno popołudnie. Idziemy wędzarsko do kina...

Al Capone, jeśli każde niewione urządzone... Al i tym jest u nas jak z chuliganizmem...

Al Capone, jeśli każde niewione urządzone... Al i tym jest u nas jak z chuliganizmem...

ODPOWIEDZI REDAKCJI

„Baśka” w Legnicy. Prosimy nas tak nie męczyć: kto odczyta tę sformułowaną maszynopisem? Niech „baśka” trochę poprękuje!...